MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 7 WARSZAWA, 13 LUTEGO 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

CHIMERA DEMOKRATYZMU

ZASADY demokratyczne Wielkiej Rewolucji francuskiej (wolność, równość i... braterstwo) zużytkował socjalizm po swojemu, to znaczy z właściwą sobie skłonnością do upraszczania zjawisk społecznych. W pierwszych latach po wojnie hasła socjalistyczne zagłuszyły naukę zdobytych już doświadczeń, kwestjonujących żywotność i sensowność rzeczonych zasad Rewolucji. Znaleźliśmy się w obliczu paradoksu: idee socjalistyczne w czasie wojny zbankrutowały, młode pokolenie odwróciło się od niego, nie znajdując w nim żadnego dla siebie pokarmu duchowego; a jednak społeczeństwa urządziły się po wojnie w sposób socjalistyczny. Jak to wytłumaczyć?

Naszem zdaniem nie socjalizm charakteryzuje stosunki powojenne, lecz jego wykładnik życiowy, mianowicie to, co nazwaliśmy uproszczeniem. Stosunki się uprościły w tem znaczeniu, że to, co pracowicie w społeczeńswach było zorganizowane, od wstrząśnień wojennych albo runęło całkowicie (Rosja), albo zachwiało się i zarysowało, albo osłabło w żywotności. Poprostu wojna obniżyła poziom cywilizacji. Osłabiła ona te sfery, które cywilizacją kierowały, niszcząc je materjalnie, wzmocniła tych, którzy na wojnie bogacili się grabieżą, a wreszcie wysunęła masy, które brały udział w wojnie pod karabinem, co musiało zrodzić w nich poczucie, że są siłą w życiu narodu decydującą. Wyniszczonemu wojną społeczeństwu brakło na razie sił na opanowanie sytuacji i przywrócenie dawnej struktury. Zapanował, nietylko u nas, naturalny bolszewizm, daleki od jakichkolwiek zasad socjalistycznych czy komunistycznych, ale obyczajowy, faktyczny. Nie było w tem ewolucji, ani rewolucji, było poprostu cofnięcie się życia wstecz od cywilizacji do barbarzyństwa. Stosunki się uprościły, przez uwstecznienie do prostactwa, a wyraziło się to nietylko w popsuciu faktycznej perspektywy stosunków, ale w wulgarności pojęć społecznych. A ponieważ genjuszem uproszczeń wulgarnych był w naszych czasach socjalizm, więc jemu przypisano rolę sprawcy i dyrygenta stosunków.

Nic fałszywszego. Nieporozumienie to wygląda tak, jakby ktoś w czasie powszechnego głodu z powodu nieurodzaju chciał sobie wyjaśnić djetę ludności ze stanowiska teoryj lekarskich, jako prąd nowoczesny hygjeny, polegający na stosowaniu głodówek. Stronę faktyczną rzeczy trzeba odróżniać od pozorów, jakaś bowiem metoda myślenia jest potrzebna w twórczości. Stwierdzono już dostatecznie, że w Rosji, gdzie najdalej jakoby posunął się socjalizm (—bolszewizm), niema właściwie ani socjalizmu, ani demokratyzmu, lecz jest poprostu upadek i ruina. Że na tej ruinie zatknięto sztandar komunizmu, to istoty nie zmienia. U nas też zatykano różne sztandary, ale ponieważ one z niczego nie wyrastały, więc nawet wobec ulicy, bardzo przecież oszołomionej, utrzymać się nie mogły. Wiadomo, że socjaliści stanowią teraz jedną z najsłabszych grup politycznych w Polsce. Nie życie przecież utrzymuje ich do tej pory w rządzie, lecz konwencja partyjna w Sejmie, a przedewszystkiem konwencjonalne kłamstwo, które legło u podstawy naszych ustaw. Romantyzm demokratyczny tych ustaw lubuje się w księżycowem świetle pojęć socjalistycznych, dobywających z ruiny miraże zdobyczy społecznych.

Życie już odbiegło daleko naprzód w kierunku naprawy społeczeństwa. Wiele się odbudowało w cywilizacji, powróciło opamiętanie, ludzie pozajmowali właściwe sobie miejsca i chcieliby po dawnemu pracować, ale coś przeszkadza. Życie to ruch z ducha poczynany, w tym ruchu maszyna państwowa główną rolę odgrywać musi, a tymczasem ta maszyna nie jest do potrzeb życia odpowiednia. Ustawy ten ruch zatrzymują, ustawy zasadnicze i drobne, ich myśl przewodnia. Życie nie jest już w ru-

inie, nie spoczywa bezwładnie, nie jest w takim upadku, żeby je można było nazywać socjalistycznem, ustawy tylko są socjalistyczne, one ruch maszyny tamują i, gdzie się tylko da, uwsteczniają.

Stało się już, dzięki Bogu, dla wszystkich rzeczą jasną, ile złego narobiły konwencje socjalistyczne na polu ustawodawstwa w dziedzinie życia gospodarczego. Inż. Piotr Drzewiecki w „Kur. Warsz.“ popularnie wykłada, jak po bolszewicku sejmowe ustawy podatkowe tępiły to, co było w gospodarstwie czyimś zyskiem, a z drugiej strony, inne chroniły obywateli od pracy, jako od męczeństwa:

> Polityka taka doprowadziła naród i państwo do zbiednienia i przyczyniła się do groźnego kryzysu. Była ona wynikiem uległości Sejmów dla wpływów socjalistycznych. Potwierdzeniem tego jest powiedzenie jednego z posłów: rewolucję w Polsce robimy w majestacie praw. Wskutek tego też — robotnicy chodzą wprawdzie w chwale ustawodawsstwa społecznego, ale są w nędzy, w łachmanach, bez pracy“.

A cóż powiedzieć o samej maszynie państwowej, która nie znosi zbyt prostackich uproszczeń. Spytajmy rozumnych urzędników, a powiedzą nam, ze na zasadzie równości, wolności etc. kół, kółek i trybów maszyny funkcjonującej zbudować się nie da. Cóż mianowicie się pokazało? Nikt w żadnym urzędzie nie ma właściwie władzy. Wszystkie ustawy poprzetykane są takiemi poprawkami na rzecz socjalizmu, że ostatecznie niema podwładnych i naczelników. Wszyscy są równi. Opinja publiczna, nieświadoma rzeczy, narzeka na opieszałość urzędników, na powolny bieg spraw, na spychanie interesów z jednego biura na drugie i t. p. Tymczasem przyczyna niedomagań jest głębsza.

To, co już w życiu prywatnem zatraca się, ów brak poczucia hierarchji, w biurach jest sankcjonowane ustawą. Każda z nich tak jest ułożona, ażeby jeden człowiek nie mógł nad innych wyrosnąć tem, że o czemś decyduje. Społeczeństwo się skarży, że urzędnik polski boi się wziąć na siebie jakiejkolwiek odpowiedzialności i spycha ją na innych, a przez to bieg spraw jest zatrzymany. Ale urzędnik nie może brać na siebie odpowiedzialności, gdy nie ma jasno określonej władzy. Cała biurowość skazana jest na bezwład z powodu przesocjalizowania ducha ustaw. Tem się tłumaczą w naszych urzędach ustawiczne komisje, one bowiem są jedyną ucieczką od odpowiedzialności, prawnie nie ustalonej W kolegjalnem ciele ta zmora gdzieś ginie między ludźmi. Szukaj wiatru w polu.

Dopóki nie zmienimy ustaw, z ducha i z litery, tak aby urzędy miały interes państwa na względzie, nie zaś formułę równości Rousseau'a — nie będzie w Polsce władzy. Trzeba się zdecydować: czy mamy stylizować socjalistycznie powojenną ruinę, czy wziąć się do odbudowy na serjo. Nie można zbyt długo karmić społeczeństwa goryczą, że ustrój państwowy stoi mu na przeszkodzie w rozwoju.

Na zakończenie cytata z zapomnianego Emila Fagueta, który tak mówił do swego narodu (1899):

„Pragnąłbym, aby znalazł się człowiek, któryby oduczył naród — jeśli to możliwe — chimery bezwzględnej równości. Ze wszystkich naszych chorób jest ona najgłębszą, ona to wyżera nas do korzenia. Każdy naród, który będzie tę chorobę lekceważył, rychło od niej zginie i zupełnie na to zasłuży. Tylko przy pomocy patrjotyzmu można walczyć z chimeryczną ideą równości; tylko przez uznanie nierówności (różnicy hierarchicznej) jako ofiary, której wymaga ojczyzna dla swej organizacji, dla prawidłowego, a więc potężnego życia, można tej chimery się pozbyć. Każdy miłujący siebie naród wyczuwa instynktem, że musi wybrać między niezdrową potrzebą równości a prawowitą, zbawczą potrzebą zachowania bytu, które jest niemożliwe przy równości“.

Z. WASILEWSKI

STASZIC NA TLE SWEJ EPOKI

ZNANY w dziejach literatury jest fakt kultu ludzi, którzy wyobrażają w pewnym okresie wielkość danego pokolenia. Badanie historyczne, oświetlając ich coraz wyraźniej, powiększa lub pomniejsza tych ludzi, by ustalić wreszcie ich wartość i określić w pełni znaczenie. Nie ulega zaś wątpliwości, że to badanie postać Staszica powiększa stale. Dzięki niemu, staje się on zwolna jakby ideą, najwyższem napięciem, może i szczytem polskiego wieku oświecenia. Jeżeli jest w nim w pełni to, co nazwano kiedyś przewrotem umysłowym, to jest i reakcja na ten przewrót, reakcja zdrowa i samodzielna. Łączy nas z nim dziś nie racjonalizm, nie historyzm, nie humanitaryzm nawet, ale raczej dążność do ogarnięcia całego świata fizycznego i duchowego, wiara w konieczność naprawy ludzi i społeczeństwa, świadomość potrzeby osiągnięcia wewnętrznej jedności narodu, dążność do unarodowienia naszych miast, kult natury polskiej.

Romantykiem Staszic nie był i być nie chciał. Ten prąd uczuciowości, co wykwitnie z gruntu religijnych przeżyć synów racjonalistów, ta tęsknota do cudowości, co pojawi się u pokolenia na przełomie dwóch wieków, ten psychologizm podmiotowy czasu, co odrzuci racjonalizm i znajdzie rozwiązanie tajemnic w samopoznaniu, jako kluczu do zrozumienia wszechbytu, nie istnieją w nim wcale. W walce racjonalizmu z irracjonalizmem stanie on zawsze po stronie pierwszego.

Pochodzi Staszic z ziemi, która od świtu dziejów dawała państwu wybitne indywidualności. Przypomnijmy tu namiętnego Janka z Czarnkowa, dumnego i zatroskanego o byt państwa Ostroroga, zapalczywego polemistę Wujka, sarkastycznego satyryka Opalińskiego, kompromisowego ale szlachetnego Leszczyńskiego, trzeźwego i praktycznego Garczyńskiego. Wszystkich tych pisarzy cechuje pewien realizm, rozsądek, upór przy swojem. Z rasy wielkopolskiej był i Staszic, który po przodkach mieszczańskich odziedziczył energję, pracowitość, nawet kult wiedzy. Uczuciowość i ludzkość matki uzupełniałaby te rysy dziada i ojca, by dać charakter stanowczy, mocny w słowie i czynie, nawskroś męski i o szerokim horyzoncie duchowym. Te rysy duchowe wyrażają wyniosłe czoło, wyrazisty i głęboki wzrok, silnie zarysowany nos i wydatność linij twarzy.

Jest zaś dziś pewne, że studja średnie i wyższe syna burmistrza Piły odbywały się wyłącznie w kraju. Otaczała go, aż do lat dwudziestu trzech, atmosfera wielkopolska, poznańska, przeniknięta już pierwszemi promieniami naprawy szkolnej, obmyślanej przez Połockiego, Massalskiego, Piramowicza. W szkole wojewódzkiej nad Wartą poznał Staszic język francuski, podstawy nauk przyrodniczych, wreszcie zasady teologji, skoro do stanu kapłańskiego przeznaczyła go nieopatrznie matka.

Studja zagraniczne uzupełniały tylko krajowe, choć one zaważyły chyba najwięcej. Znać je z rozległej lektury człowieka, co żyje całą myślą wieku oświecenia, wieku chciwego wiedzy, wieku obserwującego wszystko i pragnącego wszystko wyjaśnić. Ten kierunek ma i uczony o temperamencie wytrwałym, cierpliwym, dążącym upornie do wszechstronnego na świat poglądu.

Poza Buffonem, Voltaire'm, Rousseau, poznanymi już chyba za granicą, większą część dzieł dostarczyła mu bibljoteka Andrzeja Zamojskiego w Bieżuniu i Zamościu, gdzie Staszic oddaje się wychowaniu synów szlachetnego humanitarysty i reformatora. Uczony nie był obojętny na to, co się działo w kraju. Dowodzi tego polityka, dowodzi udział w ruchach warszawskich; dowodzi wreszcie praca w obronie mowy, historji i ziemi polskiej w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, członkostwo w Izbie Edukacyjnej, w Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, oraz popieranie gospodarstwa leśnego, wiejskiego i górniczego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Fundacja hrubieszowska — to ostatnia karta życia człowieka, co wielkim pisarzem nie był, ale wielkim człowiekiem był do końca. A to zdarzało się nader rzadko w wieku upadku charakterów, w społeczeństwie lubiącem raczej demonstrować, niż działać. Syn mieszczański zdobył się na coś, co odpowiadało jego myślom humanitarysty, organicznika, budowniczego narodu od podstaw. Ten zwolennik idej rewolucyjnych francuskich był tu tylko ewolucjonistą, bo pragnął stworzyć własność średnią i na niej oprzeć byt narodu. Romantyzm tego jego kroku nie rozumiał, jak świadczy ujemny o nim sąd Mickiewicza.

A jednak był to przedewszystkiem człowiek uczony o ogromnej erudycji, talencie obserwatorskim, żądzy dojścia do syntezy i krytycznem odnoszeniu się do tego, co było. Są to rysy wyraźnego intelektualisty, co dąży w tym wieku do prawdy i jest szczęśliwy z jej posiadania. Ten intelektualista był czynny duchowo do lat siedmdziesiątych życia i wyobrażał moralnie typ niezmiernie wyższy nad ludzi swego pokolenia.

*

Pierwszą grupę pism Staszica stanowią przekłady. Ludwik Racine, Buffon, Thomas, Florian, oto autorzy widocznie ulubieni młodości pisarza, któremu nie obcy był jednak i Voltaire. Pierwszy z nich, syn wielkiego tragika Jana, obudził w nim zamiłowanie do poezji filozoficznej, w której celował w tym wieku Pope. On to oczarował ten wiek swą religją deizmu, swemi nakazami działania dla dobra ogółu ludzkiego.

Staszic zna Pope'a, jak cały ten wiek, ale tłumaczy mało poetycznego Racine'a. Czy tylko dlatego, by zadość uczynić pragnieniom matki? Bo Racine, jako syn jansenisty, wywodzi z zapałem, że religja nie jest przeciwną rozumowi i że dzieje są dowodem istnienia rządów boskich. Jednocześnie przekłada przecież poemat Voltaire'a o trzęsieniu ziemi w Lizbonie, gdzie nie brak powątpiewania w dobroć i miłosierdzie czynnika boskiego. Ta dwoistość powtórzy się u Staszica i później.

Buffon, jako przyrodnik, odsuwał znów wszelką cudowność, wskazując na naturalny rozwój wszystkiego ku coraz wyższej formie. Głosił niewątpliwie wyższość człowieka nad resztą stworzeń i zdolność jego rozwoju, czem wyprzedzał Lamarcka. Nie chciał rewolucji, bo w naturze widział tylko ewolucję, stałą i niezmienną. I Staszic będzie ewolucjonistą i nie pogrąży się nigdy w materjalizmie typu Diderota. Florian, którego romans o Numie Pompiljuszu, natchnie go humanitaryzmem, Thomas, w swej ulubionej wtedy pochwale Marka Aureljusza, staną się dla niego źródłem stoicyzmu, co każdemu radzi uznać się częścią społeczności i czynić dobrze ludziom.

Z temi myślami gotuje się Staszic do zawodu polityka. Związany z Zamoyskim, który był również doradcą Wybickiego, miał więcej od nich szczęścia, choć oni to torowali mu drogę swemi hasłami politycznemi i społecznemi. Staszic je przypomniał, stwarzając poniekąd potężny ruch myśli. Podawał własne projekty, chwalił zamierzchłą przeszłość polską, w której szukał pokrewnych mu idej, poprawiał i uzupełniał swoje projekty, by doczekać się licznych odpowiedzi i omówień.

Słusznie wskazano, że co innego mówi jego teorja, a co innego praktyka. Nie można wątpić, że Rousseau zaciężył tu nad całym systemem polityka. Teza o rządzącym sejmie dowodzi wpływu genewskiego filozofa bardzo wyraźnie, również to, co mówi Staszic o wychowaniu. W każdym razie żądanie zniesienia elekcji, podniesienia liczebności armji, ostrożnej polityki zagranicznej nie świadczyłyby, byśmy mieli do czynienia z dziełem doktrynera typu rousseauistycznego.

Gdy sejm czteroletni przegadywał czas najpotrzebniejszy do naprawy, Staszic, podniecony obawą niebezpieczeństwa i ideałami rewolucji francuskiej,poczyna przemawiać gwałtowniej. Staje się heroldem zrównania stanów i wzmocnienia wewnętrznego narodu. Ostrzega przed despotyzmem sąsiadów, piętnuje intrygi magnackie, zaleca gotowość wojenną.

Ale los państwa, które widziało kiedyś konfederację radomską i barską, był już rozstrzygnięty. Jedności nie było od półtora wieku i cud tyszowiecki nie miał się powtórzyć. Więc teraz cofa się Staszic w zacisze prac naukowych i bada olbrzymi obszar kraju od Preszburga do Orsowy. Tworzy szereg rozpraw, mało związanych organicznie, a obejmujących Tatry, Karpaty, równiny i góry środkowej Polski, wreszcie wnioski ogólne. Pierwszy z Polaków objął Tatry okiem badacza, etnologa, turysty a zainteresował się i bogactwami ziemi. Nie szczędził nadto akcentów politycznych pacyfisty, słowianofila, demokraty.

Za Księstwa Warszawskiego wystąpił w roli statystyka, by zdać sobie sprawę z rozległości kraju, jego bogactw przyrodzonych, stanu miast i siły podatkowej. Choć mało wierzył w stałość stosunków, bronił stanu posiadania, który uważał za zadatek lepszej przyszłości. Ze zmianą stosunków kazał szukać zwycięskiej Rosji i związanej z nią Polsce związków naturalnych, gdyż poczytywał je za połączone ze sobą tradycjami walki ze wschodem. Obawiał się grozy zalewu żydowskiego i podawał praktyczne projekty. Chciał podnieść lud wiejski a miasta zaludnić szlachtą, co miałoby stworzyć brakujący i dziś stan trzeci.

Ostatnie dzieło życia Staszica stanowi poemat dydaktyczny w ośmnastu księgach, blizki twórczości Pope'a, Helvétiusa, Volneya, Chéniera. Zwłaszcza ostatni pisał poemat o powstaniu świata, stworzeń, człowieka, społeczeństwa, w którem rej wiodą ludzie wyżsi nad ogół wiedzą i myślą. Volney, znany i Krasińskiemu, pragnął znów odmalować niedolę rodu ludzkiego, wskazać na jej przyczyny, przedstawić wkońcu, jak to, przez coraz bardziej złożone formy życia społecznego i państwowego

na przekór despotom i kapłanom, dochodzi ród ludzki do zrozumienia siebie, świata, stosunków i osiąga doskonały system rządów.

Mimo podkreślenia rządów Boga nad światem, wszystko dzieje się i u Staszica sposobem naturalnym, a każda pozytywna religja jest określona, jako zabobon. Wszędzie uwydatnia się u niego podobieństwo między religjami zachodniemi i wschodniemi, a ludzki ich początek nie ulega tu wątpliwości. Wreszcie despoci zrywają z kapłanami i gotują nowe czasy. Całość, jak u Helvétiusa, zamyka apoteoza rozumu, prawa naturalnego, cnoty.

Przypiski do poematu określają bliżej dążenia Staszica. Historja, jego zdaniem, nie jest historją osób, ale ludzkości idącej ku światłu. Zbawi, jego zdaniem, ludzkość ustrój, w którym władca byłby głową polityczną i religijną swego ludu, w którym reprezentanci ludu wybierani byliby przez instytucje, w którym dobrze przygotowani i uczciwi urzędnicy sprawowaliby władzę w imieniu jedynowładcy. Ojcowie rodzin mieliby zaś tę samą władzę w rodzinach.

*

Był więc Staszic człowiekiem dalekim od uwielbienia systemu parlamentarnego. Liberalizm ówczesny potępiał; od skutków rewolucji francuskiej odwrócił się zupełnie, choć pierwotnie z rewolucją sympatyzował. Jego system przypominał, w pewnych szczegółach, ustrój wschodni, choć zbliżał się i do dążności, wyszłych z rewolucyjności zachodniej. Kult religijny był u niego echem haseł rewolucyjnych teofilantropów końca wieku oświecenia.

Niejednokrotnie usiłowano Staszica scharakteryzować, choć zawsze bez powodzenia. Za mało znano go naprawdę. Niemcewicz znał go najlepiej, ale dał tylko rozlewną, retoryczną, mało wyrazistą pochwałę swego wielkiego współcześnika. Bliższym nieco prawdy był Szujski, choć i on znał go zbyt mało. To samo tyczy się Kalinki, który lepiej rozumiał tło, niż człowieka. A Grabski, Szyjkowski, Ćwik, Chrzanowski interesowali się raczej genezą jego poglądów. Krzemiński i Hahn ustalili tylko fakty i bibljografję.

Zgasł Staszic w latach przełomu ku romantyzmowi. Za lat kilka stałby się bardzo niepopularny. A przecież życie jego było nawet piękniejsze od książek. On stworzył typ Polaka, wzniesionego nad stanowość. Rewolucjonistą nie był; ewolucjonistą, społecznikiem, pozytywistą był niewątpliwie. Wiedzę kochał fanatycznie, ale nie dla wiedzy tylko. Przywrócił jej powagę wraz ze Śniadeckim. Jeżeli mówił o Bogu, jak deista, jego żywot był chrześcijańskim. Ten żywot świadczył jedynie, że Staszic nosił suknię duchowną.

TADEUSZ GRABOWSKI

LOS POETY NARODOWEGO

(SHAECKEROWANIE EDMUNDA WASILEWSKIEGO, CZYLI 85-ty TOM „BIBLIOTEKI NARODOWEJ")

„Poeta to niewielkiej siły i natchnienia, ale dziwnie umiejący uderzyć w strunę narodową".

Juljan Bartoszewicz

I

KIEROWNICTWO krakowskiej „Biblioteki Narodowej" zaproponowało napisanie wstępu i opracowanie nowego wydania poezyj Edmunda Wasilewskiego niejakiemu panu Emilowi Haeckerowi, redaktorowi odpowiedzialnemu krakowskiego „Naprzodu", *carissimae filiae* berlińskiego „*Vorwärtsu*". Wtóry to już raz kierownicy tej „Biblioteki" obarczają tego bojownika Shylockracji pisaniem wstępu do nowego wydania ważnego w naszem piśmiennictwie dzieła. Pierwszy raz popełniono niedający się wytłumaczyć nietakt, wydając „Trybunę ludów" Mickiewicza w „opracowaniu" p. Haeckera, co spotkało się albo z wymownem przemilczeniem, albo też z surowem skarceniem ze strony krytyki. Nie pouczeni tem kierownicy „Biblioteki Narodowej" powtarzają swój *lapsus* po raz drugi.

Jest to tem boleśniejsze i przykrzejsze, że krakowskie wydawnictwo po za tem prowadzone jest wzorowo*). Puściło w świat 84 tomy arcydzieł i ważkich dzieł literatury starożytnej, staropolskiej i nowoczesnej, konwojowanych doskonałemi wstępami zmobilizowanych piór kompetentnych i przyczyniło się w ten sposób do solidnego podniesienia poziomu kultury literackiej w szerokich kołach. Wśród przedmówców znajdujemy cały szereg poważnych „uczonych w Piśmie" ze starszej i młodszej generacji, jak Morawskiego, Kleinera, Brücknera, Folkierskiego, Pollaka, Tarnowskiego, Tretiaka, Hahna, Bernackiego, Turowskiego, Kucharskiego, Gubrynowicza, Bystronia, Wojciechowskiego, Mościckiego, Łempickiego, Borowego, Pigonia, Tarnawskiego, Kota; do literatury rzymskiej i greckiej wciągnięto p.p. Witkowskiego, Przychockiego, Butrymowicza, Kowalskiego, Sinkę, Klingera, Hammera, Rapaporta.

Jak widzimy z tego same nazwiska firmowe, same firmy rzetelne i odpowiedzialne. Skąd tedy znalazł się ten „Saul między prorokami?" *Cui bono* niespodziewanie do sympozjonu dopuszczony z ulicy przechodzień? Jakież to wyższe względy lokalno-dyplomatyczno-taktyczno-polityczne nasunęły taki wybór przedmówcy do pism Mickiewicza i E. Wasilewskiego zarządowi Biblioteki Narodowej? Przecież ten pan, pracując wyłącznie w dziennikarstwie, i to niższej kategorji, znajduje się na peryferji piśmiennictwa i ni z krytyką literacką ni z historją literatury niema żadnych skojarzeń. Ni predysponowany do tego ni przygotowany, a jednak wezwany i wybrany. Jeżeli już powodowano się tamtejszemi metodami uwodzenia i obłaskawiania działaczy przewrotowych i rzeczników rewolucji, to czyż nie można było z czerwonej parafji wybrać jakąś mniej problematyczną i mniej rozkrzyczaną kreaturę, jak tego pana Haeckera, który ma na swojem sumieniu: pean entuzjastyczny ku uczczeniu Lenina, dziką nagankę na... posła Moraczewskiego za współudział w układach majowych r. 1917..., bezecne chwalby czerni krakowskiej, mordującej 6 listopada 1923 r. ułanów polskich? Mimo katolickiej maski, przybranej od trzech lat, ten międzynarodówkowy „żurnalist" w piśmie przez siebie redagowanem nadal upornie bezcześci duchowieństwo, nadal proteguje i reklamuje wszelkie odszczepieństwa i nadal wyszydza systematycznie ideologję narodową, operując zresztą dla zamydlenia uczu tamtejszych pa-

*) Ob. „Myśl Narodowa" Nr 5 z r. b. — recenzję J. Birkenmajera. *Red.*

rafjan jakimś specyficznym patrjotyzmem lokalnym i jakiemś nachalnem fraternizowaniem się z Wyspiańszczyzną, z którą za życia Wyspiańskiego do obcowania niedopuszczany jako żywo nic nigdy nie miał wspólnego.

Takiemu z ulicy przypadkowemu przechodniowi, z gatunku i rasy tych przez Krasińskiego tak po wizjonersku w „Nieboskiej“ przeczutych „Przechrztów“, typowemu „krajowemu cudzoziemcowi“, jak mawiał Żeromski, zdecydowała „Bibljoteka Narodowa“ powierzyć napisanie wstępu do nowego wydania dzieł prekursora lirycznego ideologji skroś narodowej, poety tężyzny, mocy, tradycji i ekspansji.

Możnaby tysiąc nazwisk w Polsce piszących ludzi wymienić, jako godnych, czy kwalifikujących się do odwalenia płyty oddzielającej spółczesność od poetyckiej spuścizny Edmunda Wasilewskiego, zanimby się wpadło, a raczej wdepnęło, na tego p. Haeckera.

Man of street Haecker, jak to można chyba było się spodziewać, wywiązał się z tego jemu niebacznie i lekkomyślnie powierzonego zadania tym trybem, że nie starając się heroicznie przezwyciężyć w sobie instynktów złych, impulsów i podszeptów rasy, tak we wstępie, jak i w przypisach i glossach poprostu E. Wasilewskiego s f a ł s z o w a ł. W przekonaniu, że pisarstwo jest takim samym procederem jak np. handel, p. Haecker „gatunek towaru“, prezentowanego przez siebie klientom *mala fide* podał, jako inny; w tym wypadku „materjał“ w barwie amarantowy zasuggerował jako krwawo-czerwony, co jest wierutnem *camouflage*.

I oto są skutki takich konceptów z powierzaniem pisania przedmowy do poety rasowo, herbowo polskiego, s a r m a c k i e g o, przypadkowemu przechodniowi z innej rasy i z innej planety duchowej.

Inteligencja, młodzież, lubownicy poezji dawnej dostają teraz w ręce dzieło poety, odzyskanego znów dla świadomości spółczesnej generacji, ale z kartami zbrukanemi czemś obcem a natrętnem, jak gdyby z... ex-librisem, na którem „Tarcza Dawida“ i z introdukcją, przekształcającą zuchwale wizerunek pieśniarza zmarłego, a więc nie mogącego się bronić i protestować. Nie można takich nadużyć przyjmować ze spokojem i wzruszeniem ramion, odrzuciwszy tylko mimochodem kilka słów przykrych pod adresem czasów i... „Czasów“... Te absurdy należy wykrywać i prześwietlać.

Na przykładzie poezyj E. Wasilewskiego, podanych teraz czytelnikowi w cebulowo czerwoniastym sosie Szmoka z „Naprzodu“, przekonamy się na czem polega fałszowanie produktów duchowych i jak należy patrzeć na palce tym „nowym panom“ ze starej rasy, którzy po wojnie masowo zainstalowali się w piśmiennictwie i czelnie przechodzą sobie z przedpokoju do salonów literatury.

Podsądny towarzysz Haecker, dostawszy zaszczytny obstalunek, starał się w miarę swych możności wywiązać się z tego pseudosumiennie. Znaczy to, że przewertował cały dostępny mu (na miejscu przestępstwa literackiego) materjał źródeł, biograficznych „opracowań“ i „przyczynków“, a więc przedewszystkiem prof. Kallenbacha, dalej J. S. Pietrzaka, Zatheya, K. Sosnowskiego, Zdziechowskiego; z nieboszczyków Kaszewskiego i Chmielowskiego. Z tego wszystkiego, co ci uczeni kiedykolwiek o E. Wasilewskim powiedzieli, powyczyniał sobie wyciągi, wzmógłszy swą erudycję jeszcze dwoma czy trzema pamiętnikami z „Biblioteki Krakowskiej“ i „wywiadami“ z krakowskimi historykami sztuki i muzyki. Poza Kraków i poza dostępne każdemu poloniście z 2-go semestru „źródła“ nie sięgnął. W ten sposób prościnkowy „opanował“ materjał. „Nie święci garnki lepią“ — szeptała mu w uszko (cokolwiek odstające) Egerja, inspiracją go nadymająca, a tak zwane studja literackie zdolen jest skoncypować nawet nie „przerobiony w anioła“ „zjadacz chleba“, o ile ten chleb zagryza raz poraz czosnkiem. I dziarski z ducha reporter z rady miejskiej i zjazdów pepeesowskich zabrał się żwawo do „twórczości“. Dłużej się tu rozwodzimy nad poczynaniem literackiem takiego drobnoustroju, ponieważ incydent jest egzemplaryczny i charakteryzuje całą *species* takiej tandety.

Jako „krytyk“ i koneser teatralny pan Haecker jest uważany w swojem środowisku i w okolicy tegoż za „najznakomitszego ucznia i epigona W. Feldmana“. Jest to już i bardzo wiele, ale równocześnie, skądinąd, cokolwiek mało, skoro się zważy, że Feldman, autodydakta bez żadnego wykształcenia i bez najprymitywniejszego smaku i zmysłu estetycznego był swego czasu i dla swoich czasów tylko *en gros* hurtownikiem dziennikarskiej sieczki i siana krytycznego, które potem, prasowane w tomy grube, szło, jako tania karm dla inteligencji świeżego stempla, dopełniającej w ten sposób swego samokształcenia także i w dziedzinie „Piękna“. Najznakomitszy atoli uczeń Feldmana, nie był „w stanie“ zdystansować swego „mistrza“. P. Haecker w swojem „opracowaniu“ operuje tą samą frazeologją krytyczną, ubogą, płytką, bezbarwną, wyświechtaną, wulgarną, z gwary reporterskiej pobraną. Oto kilka próbek takiego żargonu:

„Ta nierównomierność usposobienia świadczy o nadwrażliwej, jak mimoza — duszy nastrojowca i znamionuje prawdziwego poetę lirycznego“.

„W trzech pieśniach scharakteryzował Wasilewski trzy równoległe struny swojej liryki: poezję pessymistyczną, miłosną i polityczną“.

„W jego wierszach bije rodzime tętno Krakowa, Kraków ukazuje się tu w swym miejscowym kolorycie“.

...„w pierwszym poeta nastrojowo ujął estetykę i symboliczne znaczenie narodowe dźwięków Zygmunta“.

...„Rozmiłował się tedy Wasilewski w tej kamiennej księdze dziejów, która mu była krynicą uczuć patrjotycznych“.

„...na syna również oddziałał przez kontrast urok gór“.

„...Częstokroć występuje u niego niezadowolenie z życia w pozie bajrońskiej, udrapowanej w pesymizm“...

„On pierwszy wyczuł prawdziwe tętno pieśni ludowej i dlatego jego Krakowiaki są epokowym krokiem naprzód w ewolucji, jaką odbyła poezja polska w dziedzinie spożytkowania motywów ludowych“.

„...Charakter ten wyczuwali najlepiej, rzecz prosta, poeci krakowscy, z nich też wyszły próby spożytkowania w poezji rytmu i motywów Krakowiaka ludowego“...

...„Następnie oddziałały Krakowiaki Wasilewskiego na Marję Konopnicką, która na strunie sympatji dla ludu wygrała najcudowniejsze melodje swojskie“...

Takich klisz i komunałów, takich nieporadności i banałów, takich wysilań się eunucha stylu, takich bibułkowych fijołków werbalnych, podrygań kulawca, reweransów wołu i galopów zołzowatej szkapy dryndziarskiej sprezentować by tu można jeszcze cały kierdel. Reporter Haecker dysponuje dla swej terminologji krytycznej takim zapasem słownictwa, jakie posiada cokolwiek inteligentniejszy komiwojażer w konfekcji damskiej. Tym zasobem „obraca“, jak czarnogiełdziarz setką dolarów. Skutkiem tego w bełkocie takiego intelektualnie głuchoniemego powtarzają się z ordynarną monotonią te: „tętna“, „struny“, „koloryty“, „nastroje“, „krynice“, „spożytkowania“ i „oddziaływania“ i to znane kwiecie stylowe, dostępne już oddawna nawet dla śledziarek... Ponieważ jednak „*noblesse oblige*“ więci „najznakomitszy z żyjących uczniów Feldmana“ zdobywa się czasem na stylistyczne storczyki. I wtedy pisze o „bólu istnienia“, „marzycielskiem podłożu duszy mimowolnego byronisty“, „szczytach zwątpień“ poety „nasiąkniętego pesymizmem“, który „jako liryk marzycielski przeważnie smętny“, nie był atoli „wielbicielem nagiego realizmu“, a u którego niekiedy „uczucie znajduje wyraz cieplejszy“, a nawet „wdzięk rzewności“...

A kiedy już natchnienie zaczyna rozpierać krakowskiego „mimowolnego“ krytyka, „nasiąkniętego“ feldmanizmem, wtedy „uczucie“ pełne „wdzięku rzewności“ „znajduje wyraz“ takiego „nagiego“ trywializmu:

„Była to dusza pęknięta, a rozdarcie jej w znacznej mierze tłumaczy się i wrodzonem usposobieniem i ciasnotą stosunków i dusznością atmosfery Rzeczypospolitej Krakowskiej, w której żyć mu przypadło i z której istnieniem żywot jego pokrywa się w czasie bardzo dokładnie“.

Przeczytawszy takie pokraczne „pokrywanie“ się duszy nie pękniętej i nie rozdartej, ciocia Regina z „wrodzonem usposobieniem“ wykrzyknie nie bez „wdzięku rzewności“ zapewne: *Pfui! wie schoen Emilchen!*

My natomiast, nie obdarzeni gorącą krwią narodów wschodnich, musimy, odnosząc się do tego z pewną sceptyczną rezerwą, dopatrywać się w tem raczej nadal „ciasnoty stosunków i duszności atmosfery Rzeczypospolitej Krakowskiej“...

I tem tylko wytłumaczymy sobie ryzykowny eksperyment obarczania takiego scrybifaxa od siedmiu boleści i ósmego listopada misją wprowadzania znowu w świadomość literacką ogółu E. Wasilewskiego, to jest bądź co bądź poety czystej rasy i pierwszej klasy, poety z Bożej łaski i z Bożego nakazu, posłanego na ziemię polską w noc niewoli, aby słowiczem rozśpiewaniem radował serca zwątpiałych i zdesperowanych.

Jeszcze przed przeczytaniem tego wstępu i tych przypisków odmawialibyśmy i zaprzeczali najkategoryczniej temu panu Haeckerowi jakiegokolwiek prawa czy przywileju patronowania literackiego poezjom Wasilewskiego. Poecie polskiemu, który w swej indywidualności ma coś z uroku Berangera, a może i coś z Musseta, poecie grobów królewskich i Katedry Wawelskiej, poecie, którego skrzydlatym, polskim słowom dawała oddźwięk harfa derwidowa Moniuszki, takiemu poecie krew z krwi, kość z kości, torować w Niepodległej wejście powrotne winien był tylko poeta. Są w plejadzie starszych i w falandze młodszych tacy, coby temu sprostali *cum ira et studio*; od biedy zresztą i uczeniec, profesor, przyczynkarz, wyszperacz i wpływolog. Gdyby jeszcze... większa bida, możnaby iść... i do jida, np. w przypadku, gdyby paraliż postępowy pozamraczał wszystkie głowy; wśród mełamedów z Helikohnu, ba nawet w karczmie nad Skamandrem znaleźliby się ostatecznie czy utalentowani, czy oświeceni, czy gorętsi...

Ale skąd szmok z Naprzodowni? Skąd wprowadzony do Przybytku Słowa niedokropiony katołyk i kołtunek z Filisterni socjalskiej?

Skąd glejt dla literatora, który już się rozpisuje nachalnie-kahalnie o „symbolach w „Akropolis“, ale jeszcze nienasamokształcił się do tyla, żeby umieć odróżnić, co to takiego jest: „prozodja“ — a co takiego, rytmika“?

Crimen quidama Haeckera nie leży atoli w kalectwie jego *cerebrum* czy też w nieuleczalnej impotencji tuzinkowego szaraka. To, że ze *slangu* żargonowego wyzwolony tak obrotnie i szybko słowami przybranego języka śmiele miele, to już wiele, bardzo wiele. Niechby z tą wiedzą, z tą rafinadą krytyczną, z takim gustem i smakiem artystycznym wziął się nawet do „komentowania“ twórczości pana Kaden-Bandurskiego, czy Helity Mniszkówny. Nie byłoby w tem nic epatującego i naskórek ręki, biorącej taki komentarz Haeckerów nie czułby swądzenia, jak od świerzbu. *Malum non necessarium* zaczyna się dopiero, gdy takowy *nequam* bierze do ręki relikwiarz i zaczyna go taksować i „owartościowywać“, *Crimen* zaś dopiero, gdy oszukuje.

ADOLF NOWACZYŃSKI

DO MARUTÓW

(HYMN RIGWEDY)

DOBREGO Agni w czestnych modłach proszę,
Niech tu zasiądzie, aby żertwę sprawić,
Niby na wozach ją lotnych przynoszę,
Marutów w prawo zwrócony chcę sławić.

Gdy na swe sławne siądziecie jelenie,
Na wozy lekkie, Rudrowie-Maruty,
Olbrzymie lasy gnie w łęk przerażenie,
Ziemię i góry strach potrząsa luty.

Najwyższe nawet turnie lęk owłada,
Niebios powała drży na gromów bicie,
Kiedy, jak huczna wodnych fal gromada,
W dziryty zbrojni zuchwale tańczycie!

Złotem w przepychu zdobią się dowoli,
Niczem z bogatych domów oblubieńce,
Radośni, silni pędzą sławie gwoli
W promiennych blasków ustrojeni wieńce.

Jak bracia w szczęściu każdy z nich mołojcem,
Żaden nie starszy, wszyscy równi wiekiem,
Rudra przemyślny jest młodym ich ojcem,
A Prisni jasna karmiła ich mlekiem.

Czyli z najwyższych swych niebios okola,
Czy ze środkowych, czy z najniższych — ono,
Znijdźcie tu do nas, Rudrowie, gdy wola,
A ty, o — Agni, przyjm żertwę złożoną!

Gdy z najdalszego nieba, o — szczęśliwi,
Z Agnim przez góry wasz huf się potoczy,
Wrogów pogromcy, radośni, burzliwi,
Obdarzcie wieszcza, który somę tłoczy!

Pij z Marutami, Agni! Pij wśród pieśni
Somę z gromadę naszych lśniących gości,
Którzy ruch tworzą — płomienni, rówieśni...
Bywaj! z proporcem swym, skarbie ludzkości!

przełożył ST. PIEŃKOWSKI

Uwaga. Agni—bóg ognia. Rudra—bóg burzy. Synowie Rudry (Rudrowie)—Maruty—to burzliwa, głośna i zbrojna gromada, towarzysząca często Indrze—bogu wojny. Zastanawia w tym hymnie, jak wogóle w Rigwedzie, radosny stosunek Arjów do najgroźniejszych zjawisk przyrody. Hymn ten żywo przypomina „Burzę“ E. Griega, lub „cwałowanie Walkiryj“ R. Wagnera. (przyp. aut.)

BALBINA

OSTATNIA PANNA RESPEKTOWA

(Dokończenie)

PRZYSZEDŁ wreszcie czas, gdy obszerny dwór opustoszał nagle: złowrogi powiew wojny przeciągnął nad nim i zapędził mieszkańców w dalekie kraje. Państwo wyjechali, zabrawszy co lepsze rzeczy ze sobą. Szereg furmanek odwiózł na kolej kosztowne sprzęty, obrazy i makaty ze ścian. Opustoszały pałacowe pokoje. Panna Balbina snuła się po nich teraz, jak cień przeszłości, ubrana w swoją wieczystą, staromodną sukienkę, której nie przystrajała już teraz koroneczkami. Bo i dla kogo?

Wkrótce opustoszały dom stał się widownią rzeczy niezwykłych: przez dziedziniec przeciągały coraz to inne wojska. Nieznani ludzie, mówiący obcym językiem, zabierali najlepsze konie ze sobą. W staroświeckiej, wygodnej karecie odjechał jakiś lejtnant niemiecki, oznajmiwszy niedbale, że odeśle „ten grat" przy okazji. Kareta jednak już nigdy nie powróciła do dworskiej wozowni...

Pomimo dziwnych czasów i wydarzeń, panna Balbina co niedziela, o świcie, czyniła staranne przygotowania: suknia odświętna leżała na krześle, służąca przynosiła z kuchni gorące rurki. Stara panna karbowała sumiennie przerzedzone kosmyki włosów, zawiązywała pod brodą wstążki kapotki, wkładała rękawiczki i brała z półki starą, wyblakłą książczynę. Ponieważ karety nie było, jeździła teraz do kościoła małym, trzęsącym wózkiem. Wchodząc przez drzwi zakrystji, przedewszystkiem ogarniała wzrokiem tłum ludzki, a potem wolno, ostentacyjnie przeciskała się do kolatorskiej ławki.

Tam—zasiadała z powagą, w poczuciu własnej godności. Reprezentowała wszak swoją osobą cały dwór wielkopański, wszystkich mieszkańców pałacu. Wszystkich.

. . . .

Niejeden szrapnel przefrunął nad dziedzińcem, niejedna kula utkwiła w ścianie domu, zanim Balbina doczekała powrotu chlebodawców. Przez ten czas strzegła resztek dobytku, ujęła mocno w dłonie ster rządów i dowodziła nieliczną służbą, jak jenerał ostatkiem swoich żołnierzy.

I doczekała. Pałac zaludnił się znowu. Nie wszyscy wprawdzie wrócili, ale przyjechał „panicz", najmłodszy z pokolenia i przywiózł nową rodzinę do rodzinnego gniazda: piękną żonę z dwojgiem malutkich dzieci.

Puste, milczące pokoje rozbrzmiewały znowu tupotem nóżek dziecięcych. W pociemniałych ze starości zwierciadłach przeglądały się znów twarzyczki jasne i świeże, jak stokrotki o świcie. Potężne belki z sufitów i boazerje ścienne patrzyły na przybyszów z życzliwą ciekawością, suchem potrzaskiwaniem dając wyraz swemu zadowoleniu.

Młoda dziedziczka miała nietylko wesołe, lecz i czynne usposobienie. W krótkim czasie dom zmienił się nie do poznania. Sprowadzono majstrów stolarskich i tapicerów. Miejsce starych obrazów i makat, rozwłóczonych po świecie, zajęły inne, okazalsze, o barwach żywych i rysunku niefrasobliwym, jak dusza nowej pani. Wprawiono w okna szyby wielkie i jasne, przed oknami zasadzono wesołe kwiaty, przecięto nowe ścieżki w zarosłych gąszczach ogrodu.

Balbina dreptała z kąta w kąt, oszołomiona. Jakiś niepokój szarpał stare serce, jakiś żal głuchy za krzywdę, wyrządzoną rówieśnikom jej lat dziecinnych. Ze łzami w oczach żegnała każdy sprzęt, wynoszony z domu na zawsze. Wymykała się cichaczem na strych i tam, w towarzystwie wytartych, okaleczałych mebli spędzała długie godziny rozmyślając o znikomości doczesnej.

Nie czuła się już nawet niepotrzebna, ale poprostu z b y t e c z n a w tym ślicznym domu, pełnym życia i gwaru. Czyż ona sama nie była jednym z tych starych sprzętów, który tolerowano jedynie, jako szanowną relikwię przeszłości?

Młoda dziedziczka czuła się w nowej roli doskonale. Uroczym, dźwięcznym głosem wydawała rozkazy, karciła służbę, strofowała nawet—Balbinę.

— Niechże się pani nie trudzi — mówiła uprzejmie. Przecież j a się tem zajmę, j a to załatwię, j a tego dopilnuję. Niech pani szanuje siły i wypoczywa teraz, gdy j a tu jestem.

I Balbina w y p o c z y w a ł a. Było to nowe, nieznane jej dotychczas zajęcie, bardzo przykre i bardzo uciążliwe. Nie mając o co rąk zaczepić, błąkała się po domu bez celu, nie mając o co zaczepić myśli, uciekała się do wspomnień dalekich, niepowrotnych, najdroższych. Ale to nie wypełniało długiego, słonecznego dnia, z nieskończoną zda się ilością godzin, zstępujących tak opieszale w inną nieskończoność: godzin szarych i godzin zupełnie już czarnych, gdy wszyscy udawali się na spoczynek.

Jedynym promykiem, jedyną radością i nadzieją serca, spragnionego miłości, były dzieci, które całemi dniami bawiły się w ogrodzie, przekrzykując ptaki. Coprawda, one także mało uwagi poświęcały Balbinie. Czasem jednakże, gdy rozpoczęła się słota, poczynały grymasić, męczyły starszych ustawicznemi psotami, zanudzały pytaniami bez sensu.

Wówczas, jak dobra wróżka, zjawiała się panna Balbina. Brała za rączkę złotowłosą dziewczynkę, głaskała chłopaczka po jedwabistej czuprynce i mówiła cichutkim, drżącym ze starości głosem:

— Chodźcie. Nie trzeba przeszkadzać mamusi. Pokażę wam coś—tam, na górze...

Prowadziła dzieciaki do swej ciupki na poddaszu. Wyjmowała z komody stare rupiecie: skrawki jedwabiów i koronek, spłowiałe aksamitki, książczyny o wyblakłych obrazkach, szczątki popsutych zabawek. Wydobywała pokolei całą zawartość staroświeckiej szafy: dwie suknie ogoniaste, mocno zrudziałą atłasową mantylę i przydeptane trzewiczki, które ongi miały barwę niebieską. Opowiadała o tych strojach przedziwne i długie historje, opowiadała o jakimś balu, na którym był sam książę X. (Ich babka cioteczna wyszła później za niego, a zmarła w kwiecie lat). Opowiadała o jakiejś maskaradzie, o kuligach, w których brała udział cała „okolica", o pożarze, o słynnej na cały powiat czwórce białych arabów, o tem, jak ona sama, Balbina, przygotowała przyjęcie, na którem Biskup powiedział śliczną mowę o Bogu i sile w jedności...

Dzieciaki słuchały zrazu uważnie, potem zaczynały się kręcić. Wreszcie chłopczyk odzywał się pierwszy:

— Pani da co dobrego?

Balbina dobywała pośpiesznie smakołyki z blaszanej puszki: były tam śliwki z kminkiem, śliwki suszone na patyczkach i śliwki nadziewane migdałami.

— Chcesz jeszcze? — pytała, a gdy dzieci wyciągały łapięta, dodawała wzruszonym głosem:

— Powiedz: daj, Balbińciu, śliweczkę...

— Dej, Balbińtu, śliwecte... — sepleniła dziewczynka, a starej pannie respektowej po zwiędłych policzkach gradem leciały łzy—z wielkiego rozrzewnienia.

Tak dawno, tak bardzo dawno nikt do niej nie mówił: Balbińciu.

. . . .

Widmo pluchy jesiennej nastraszyło młodą dziedziczkę. Ujrzała w wyobraźni drogi rozkisłe, po których nikt z sąsiedztwa nie odważy się wyruszyć w odwiedziny. Zatęskniła do ciepłych krajów, o drzewach wieczyście zielonych, do południowych wybrzeży, owianych ciepłem tchnieniem wiosny nieśmiertelnej.

Zapakowano kufry podróżne, zamknięto srebra i kryształy, opuszczono story w salonie, by blade słońce jesienne nie wpijało barw z obić i mebli, krytych adamaszkiem. Wygodna, lśniąca, jak damski lakierek, nowa kareta miała znów czekać w wozowni łaskawszych czasów, gdy państwo powrócą z „zagranicy".

I nagle—w pannie Balbinie wezbrało dawne, niezaspokojone pragnienie. Cichutko, z sercem bijącem, jak serce ptasie, poszła do samej dziedziczki...

— Wyobraź sobie, mój drogi — mówiła tego wieczoru młoda pani do męża — wyobraź sobie, że ta wasza starowina ubawiła mię dzisiaj do łez. Przyszła zapytać, czy jej pozwolę pojechać do kościoła nową karetą. Dodała tonem uroczystym, że tylko jeden, jedyny raz. Ale żeby k o n i e c z n i e czwórką koni i żeby stangret miał k o n i e c z n i e liberję, i co to jeszcze? Aha! Żeby, zeježdżając przed dom, dwa razy trzasnął z bata!

— I cóż? — zagadnął pan domu, rozwiązując krawat.

Wzrszyła lekko ramionami.

— Obiecałam solennie. Kazałam nawet zawołać Ignacego i w obecności panny Balbiny wydałam odpowiednie rozkazy. Liberja, czwórka koni, kareta wypucowana, „jak z igły" i nawet klaśnięcie batem. Obowiązkowo. Ten Ignacy to jednak służbista. Ani okiem nie mrugnął. Rozkaz i basta. Niech sobie starowina przypomni dawne, dobre czasy... Niech ma uciechę. Czy źle zrobiłam, mój drogi?

— Zrobiłaś, jak zawsze: najlepiej,—odparł, całując rękę żony.

Państwo wyjechali we czwartek. Dwa dni, dzielące ją od upragnionej chwili, Balbina przeżyła jak w gorączkowym śnie. Już w piątek o świtaniu, wzięła się do czyszczenia salonu. Po południu wycerowała rękawiczki, wieczorem skończyła wszystkie zabiegi około świątecznej toalety, a w sobotę od rana, nie mając już nic do roboty, podbiegała co chwila do okna, przekonać się, czy wygląd nieba nie zapowiada jakiegoś kataklizmu w postaci burzy, gradu, śniegu, lub rozpętanej wichury.

Lecz nie. Dzień następny wstał cały złoty, strojny w purpurę i miedź więdnących liści, prawdziwie ciepły, osnuty przędzą babiego lata, cudowny. Była to podwójna uroczystość, w tę bowiem niedzielę wypadło święto Matki Boskiej Różańcowej—i rocznica urodzin Balbiny.

— Który to ja rok kończę? — zastanowiła się, nakładając fałdzistą suknię o staniczku obcisłym, z bufami.

Ale nie miała czasu medytować. O siódmej była zupełnie gotowa. W kapeluszu związanym pod brodą, w rękawiczkach i z książką pobożną w rozdygotanych dłoniach siadła przy oknie, skupiona, uroczysta, oczekująca. Czas dłużył się niepomiernie. Kościół był o godzinę drogi—suma rozpoczynała się o dziesiątej...

— Bądź pozdrowiona, święta Rodzicielko Boża... „Tyś wydała na świat Króla, który niebem i ziemią rządzi na wieki wieków..." — szeptała Balbina, skracając oczekiwanie modlitwą... „Wydało serce moje słowo dobre; opowiadam ja czyny moje Królowi..."

Myśli mąciły się jej w głowie. Słowa modlitwy splątały się, jak powoje, w starej pamięci.

— ...Opowiadam ja czyny moje Królowi... I spraw, prosimy, niech czcząc tajemnicę najświętszego Różańca błogosławionej Maryi Panny, naśladujemy to, co wyrażają... naśladujemy to, co wyrażają... I otrzymamy, co przyobiecują...

Zaturkotało na dziedzińcu. Balbina rzuciła się do drzwi, zapinając po drodze salopę.

— ...I otrzymamy, co przyobiecują...—szeptały jeszcze jej wargi, gdy Ignacy dwa razy palnął z bata, jako miał przykazane.

Kareta stała już przed gankiem. Balbina usiłowała iść prosto i pewnie, choć nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Z trudem otworzyła drzwiczki—stangret przyglądał jej się z kozła, uśmiechnięty nieco drwiąco na widok staroświeckiego kapelusza z chwiejącą się, zrudziałą kępką piórek, zjedzonych przez mole.

Konie ruszyły natychmiast. Padła na miękkie poduszki, półprzytomna ze szczęścia. Oto spełniło się jej najgorętsze pragnienie, skrywane w sercu tyle lat... Tyle lat! I nagle—ogarnęło Balbinę zdziwienie tak ogromne, że prawie zagłuszyło radość uroczystej chwili. Więc tak wygląda urzeczywistnione marzenie?

Kareta toczyła się szybko po gościńcu. Resory niosły miękko—zdawała się leciuchno kołysać, przepływając wyboje, niby łódka grzbiety drobnych fal na jeziorze. Koła prześlizgiwały się po kamieniach bez wstrząsu. Przez jasne szyby zazierało co chwila słońce blado-złote, odbite w każdej kałuży i w każdej lśniącej niteczce babiego lata. Na przedzie, zawsze na przedzie, klektały kopyta końskie w ziemi rudej, gliniastej i słychać było parskanie raźnej czwórki, oraz nosowy bas Ignacego, który każdemu parsknięciu odpowiadał z powagą: „Zdrów!"

Myśli Balbiny kołysały się teraz łagodnie, z ruchem karety. Wydało się jej, że lata minione dostały skrzydeł i przefruwają, niby ptaki, jeden za drugim, niezliczone, podobne do siebie, a przecież różne. Jakie ich mnóstwo— mój Boże! Płyną po niebie ogromnym kluczem, niby żórawie na ciąg jesienny, ku nieznanym krainom. Jeden, drugi, dziesiąty przesunął się powoli i zniknął na linji horyzontu, w pasmie błękitnem, za ziemią. Następny dziesiątek mknie chyżej—śpieszą się, by zdążyć za tamtymi. Następny—jeszcze chyżej... Następny... I znowu, i znowu łopocą skrzydła przemijających lat... Ile ich jeszcze? Oto rysuje się na szybie cień ostatniego ptaka. Biedny jakiś, samotny, jakgdyby wolniej sunie po niebieskiem sklepieniu... Lecz i ten także oddala się, maleje, ginie.

— Ile to lat—przemknęło znowu przez głowę Balbiny pytanie, uśmiechnięte boleśnie. — Który to rok się kończy?

A szyby pięknej karety dzwonią cichutko, drzwiczki klekocą, coś liczą... I nagle—w każdem drgnieniu szklanem zadźwięczy głos znajomy. Mnożą się, szepczą, pytają zadziwione:

— Tyżeś to, Balbino? Tyżeś to? W karecie jedziesz, sama jedna? Samiutka?

— Samiutka... samiutka...—odpowiada cicho, wstydliwie.

— Usuń-że się cokolwiek. Zrób dla nas miejsce.. Wszyscy śpieszymy tam, dotąd, dokąd i ty śpieszysz, Balbino!—proszą znów głosy, a staruszka poznaje teraz każdy z osobna: dawno umilkły, a drogi, umarły — a niezapomniany.

Więc się usuwa. Powoli, ostrożnie zsuwa się z miękkich poduszek, na klęczkach śpieszy do swej ławeczki, do tej ławeczki, na której zawsze, przez całe swoje życie...

— ...Zapewnił nam nagrodę wieczną.. — szepczą jej wargi uśmiechnięte—...I otrzymamy to, co przyobiecuje...

Kareta zatrzymała się przed kościołem. Ignacy czekał dobrą chwilę, aż wreszcie stuknął końcem bata w zamknięte drzwiczki, wołając:

— Pani! Hej, pani! Jużeśmy przecie dojechali!

Ale Balbina nie słyszy. Rozmodlona, szczęśliwa, klękła przed Tronem Boskim ostatnia Panna Respektowa.

WANDA MIŁASZEWSKA

LIBERUM VETO

Nietykalność w najdemokratyczniejszej konstytucji.— Nietykalność największa.—Wycieczka nietykalnych.— Cienka ścianka od bolszewji.—Dziki ład i kulturalny bezład.—Nowy gejzer.—Słaba pociecha.

WIADOMO, że nasza „najdemokratyczniejsza konstytucja w Europie“ wprowadziła do życia państwowego długi szereg prześlicznych „nietykalności“. A więc nietykalni są wszyscy robotnicy, urządzający strajk, nietykalni są urzędnicy, osadzeni na swych stanowiskach, nietykalni są członkowie wszelkich (czerwonych) związków zawodowych, a już najbardziej nietykalni, niby przenajświętsze sakramenty, są posłowie. Jedynie żony, lub kochanki, jeśli to należy do ich zwyczajów małżeńskich, mogą ich „wyprać“, ile się zmieści, ale niema w całej Rzeczypospolitej polskiej władzy tak wysokiej, którąby ośmieliła się dotknąć tych nadludzi, bez pozwolenia sejmu. Ta ich niezależność od wszelkiego zwykłych śmiertelników obowiązującego prawa i od wszystkich organów rządu rozciąga się w niezmierzonej skali, począwszy od przywileju wytrzepania po nosie kartą poselską policjanta, który w Łodzi poważy się powstrzymać starozakonnego ustawodawcę od przejścia przez niedozwole miejsce, aż do jawnej zdrady państwa. W przeszłym tygodniu mała partyjka sejmowa wypluła ze swego łona przywódcę ex-księdza, którego w publicznem wyjaśnieniu oskarżyła o oszustwo, kradzieże, fałszerstwa i uwodzenie dziewcząt. Gdyby zwyczajny obywatel „najdemokratyczniejszej republiki w Europie“ popełnił tylko jedno z tych przestępstw, siedziałby oddawna w więzieniu; nietykalny poseł siedzi w sejmie i uczestniczy w uchwalaniu praw dla nas. Najwyższy jednak rekord nietykalności ustanowiło kilku posłów, którzy pojechali do bolszewji, wypowiedzieli tam gwałtowne mowy komunistyczne, ulżyli sobie wymiotami żółciowemi na Polskę, powróciwszy do kraju dali kilka podobnych przedstawień w rozmaitych miastach i zasiedli w sejmie.

Spokojni, bo nietykalni, niezagrożeni utratą nawet jednego włosa. Za cząstkę tych przewinień zwyczajni agitatorzy dostają po kilka lat więzienia.

Nie będę tu przytaczał znanego pacierza komunistycznego, odmówionego publicznie przez tych panów w bóżnicach sowieckich, muszę jednak sprostować ich przysięgę. Ślubowali oni, że wkrótce zburzą mur, odgradzający Polskę od Rosji sowieckiej. Otóż zamiar ich jest zbyteczny, bo żadnego muru tu niema, istnieje tylko ścianka z cienkiej bibułki, której nie potrzeba rozdzierać, gdyż przez nią przesiąkają do nas swobodnie wpływy bolszewickie. Kto o tem jeszcze wątpił, tego chyba przekonały dwa ostatnie strajki w Warszawie. Gdyby w jakiemkolwiek państwie praworządnem kasjerka instytucji publicznej popełniła nadużycie, dyrekcja zawiadomiłaby o tem prokuratora i—jak się mówi po polsku—„indycent byłby zlikwidowany“. W polskiej bolszewji rozpoczynają się wtedy zatargi, układy, wtargnięcie związku zawodowego, strajk, pozbawienie wielkiego miasta komunikacji telefonicznej, opanowanie przedsiębiorstwa prywatnego przez rząd, zawieszenie działalności władz niższych i przeniesienie sporu do najwyższych. Gdyby w jakiemkolwiek państwie praworządnem służba tramwajowa, pobierająca większe pensje, niż starostowie, wicewojewodowie i komisarze policyjni, zażądała podwyżek w czasie, kiedy miasto wycieńczone podatkami musi wnieść do swego budżetu oszczędności, i urządziła strajk, przeciętoby go natychmiast zupełnem jej uwolnieniem i zastąpieniem nowymi pracownikami. W polskiej bolszewji rozpoczynają się układy, propozycje, ustępstwa i cały bezmyślny taniec niedołężnej włady z zuchwałym buntem. Tu należy zrobić ważną poprawkę. Jeżeli te gorszące wypadki nazywamy bolszewizmem, to tylko z tej jego epoki, kiedy on dopiero burzył, ale nie z tej, kiedy zaprowadzał swoją organizację. Cokolwiek powiedzielibyśmy o ładzie sowieckim, musimy przyznać, że tam jest jakiś ład. Tymczasem w bolszewizmie polskim jest tylko chaos, zamęt, rozstrój, to, co moskale nazywają b a ł a g a n e m. My żyjemy w zupełnem bezprawiu—w najgorszym stanie, jaki można sobie wyobrazić. Rosja zrobiła rewolucję i utrwaliła jej zdobycze w ustalonej organizacji; Polska od ośmiu lat jest ciągle w rewolucji, która się nie kończy i nie utrwala nowego ustroju, lecz ciągle go wiąże ze starym, nie przechylając walki na żadną stronę. Tam rząd ma dziki swój wzrok wytężony w jednym kierunku, nasz patrzy zezowatemi oczami na dwa boki. Mamy prawa i nie mamy, mamy władze i nie mamy, mamy ciało ustawodawcze i nie mamy, mamy rządy, opiekujące się życiem społeczeństwa i nie mamy, mamy własność i nie mamy, mamy bezpieczeństwo osobiste i nie mamy. Nic nie jest u nas stałe i niewzruszone, wszystko płynne i ruchome. W Rosji żywioł rewolucyjny zdobył przewagę siły nad zachowawczym i zwyciężył go, w Polsce toczy się dotąd nierozstrzygnięta walka między dwiema impotencjami, między dwiema niemocami, z których żadna nie nie może pokonać drugiej. Z tego powstał nasz bezład, niedola, rozpacz i pragnienie zakończenia w jakikolwiek sposób rozstroju, bezprawia, nędzy, chociażby gwałtem, dokonanym przez dyktatora lub króla.

Z tego uczucia rodzą się rozmaite pomysły, nowe ugrupowania, małe partyjki z wielką ambicją wyprowadzenia narodu z odmętu. Ile my już widzieliśmy tych skupień i programów. Niestety, Polska posiada dużo islandzkich gejzerów, wyrzucających ciepłą wodę, ale ani jednego włoskiego wulkanu, wybuchającego gorącą lawą. Świeżo otworzył się nowy taki gejzer pod nazwą „Klub republikańsko-synarchiczny“. Ponieważ czytelnik sam się nie domyśli, co to jest „synarchia“, a ja wiem z wydanej pod tym tytułem książeczki, więc objaśniam, że „ona oznacza spółrządy, w wyniku ich zaś zgodną spółpracą stanów, klas i poszczególnych obywateli w łonie społeczeństwa“. Autorowie oparli swój program na Mickiewiczu, Krasińskim i „naszych wielkich myślicielach, którzy wykryli prawa, rządzące życiem politycznem i ekonomicznem narodów“. Wymyślili oni 9 organów prawodawczo-wykonawczo-kontrolujących, oraz 7 izb, które wraz z narodem, kościołem, samorządami i sądy przedstawili w rysunku koła. Nie będę zajmował uwagi czytelnika szczegółami tej najnowszej naiwnostki politycznej, chociaż ona wypłynęła z najszlachetniejszych uczuć i zawiera kilka dobrych pomysłów praktycznych (np. co do ordynacji wyborczej); zaznaczam ją tylko ogólnie, jako jeden z wielu dowodów naszej nieudolności politycznej. Oś obrotowa naszej państwowości opiera się na dwóch przeciwległych biegunach: jednym jest bandytyzm, drugim ewangelizm. Patrjotom, bolejącym nad niedolą i chorobą narodu, zdaje się, że gdy zbiorą się w kilku na konsyljum, zapiszą receptę, złożoną z ewangelji i wierszy znakomitych poetów, gdy ją wydrukują i wraz z listem publicznym prześlą do sejmu, lekarstwo natychmiast będzie zrobione w aptece prawodawczej i podane choremu, który wkrótce wyzdrowieje i będzie szczęśliwy. Niezliczeni i nieuleczalni marzyciele! Gdy dmuchnąć w ich domki z kart, które się rozpadają, oni bronią się wiarą w ewolucję. Jest to wyraz, który dziś bardzo często pojawia się na ustach patrjotów, ufających i cierpliwych. Rzeczywiście to, co dała światu ewolucja, jest ogromem w porównaniu z tem, co mu dały wszystkie rewolucje. Ale czy można zziębniętego pocieszać, że kiedyś w jego bagnie utworzą się obfite pokłady torfu, któremi będzie mógł ogrzać wszystkie swoje piece? On musi w nich napalić zaraz, bo inaczej zmarznie. Czekać mogą tylko zdrowi i szczęśliwi.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

GŁOS Z POLESIA

SPOŁECZEŃSTWO polskie nie ma dotąd ustalonego poglądu na zadania polityki naszej na kresach wschodnich i naogół nie zna dostatecznie warunków miejscowych, to też niewątpliwie zbadanie gruntowne tych spraw należy do najpilniejszych naszych zadań państwowych, cennym zaś jest każdy, choćby najdrobniejszy, pomagający do ich poznania przyczynek.

Z tego względu z wielką ciekawością przeczytaliśmy przesłany nam memorjał pewnego mieszkańca Polesia, wiernego syna cerkwi prawosławnej, ale zarazem i lojalnego obywatela Polski. Streścimy tu niektóre ważniejsze jego poglądy i spostrzeżenia, zdaniem naszem zawierają one bowiem sporo prawdy.

Autor zaznacza na wstępie, że ludność Polesia nie ma wyraźnego oblicza ani narodowego, ani wyznaniowego. To drugie objaśnia on wielu zmianami w ciągu dziejów, że przypomnimy tylko wprowadzenie unji, a potem jej zniesienie. Utarły się tam oddawna takie nazwy, jak „wiara ruska" dla prawosławia, a „wiara polska" dla katolicyzmu. Ludność prawosławna nie żywi jednak żadnego fanatyzmu wyznaniowego, np. z oburzeniem przyjęła demonstracyjne uchylenie się duchowieństwa prawosławnego od powitania przybyłego do Pińska biskupa katolickiego.

Co się tyczy duchowieństwa prawosławnego, to — zdaniem autora—nie ma ono również wyraźnego oblicza polityczno-narodowego. Duchowieństwo prawosławne, mimo pewne objawy, o których niżej, ma jeszcze duży wpływ na umysły ludu i ono właśnie w pierwszym rzędzie przynićby slę mogło do utrwalenia myśli, że Polska władała Polesiem przez długie wieki i obecnie objęła je znowu zgodnie ze swem prawem, co uważać należy za główne zadanie polityki polskiej na kresach wschodnich.

Ale samo duchowieństwo prawosławne nie ma ustalonego na te sprawy poglądu. Pamiętać również należy, że przed wojną wychowywane ono było w duchu państwowo-rosyjskim i że w pierwszych latach istnienia odrodzonej Polski było nieufnie usposobione do jej trwałości. Obecnie zaś duchowieństwo jest rozbite na partje, wzajemnie nieufne względem siebie, chociaż wszystkie w razach potrzeby zapewniają o swej lojalności. Zdaniem autora, około 40% stanowią nieprzejednani Rosjanie, już to monarchiści, już to nawet zwolennicy obecnego ustroju rosyjskiego (bez jego krańcowości), około 10% jest „samostijnych ukraińców" i około 10% stanowią naprawdę lojalni obywatele Polski.

Najmniej zadawalające z polskiego punktu widzenia jest, zdaniem autora, nie duchowieństwo wiejskie, lecz dygnitarze cerkiewni, wyższe zajmujący stanowiska w dekanatach i konsystorzach. Ci ostatni właśnie najbardziej sis opierają wprowadzeniu języka polskiego do korespondencji urzędowej i metryk i t. p. Autor zwraca uwagę, że duchowieństwo prawosławne dzieci swe posyła przeważnie do szkół rosyjskich, które bez tych dzieci straciłyby wprost rację swego istnienia. Wielu duchownych ma też u siebie w domu w charakterze nauczycieli wychodźców z Rosji; wszystko to są, zdaniem autora, dowody braku wiary w trwałą przynależność kresów do Polski.

Rozbicie moralne duchowieństwa prawosławnego uszczupla wpływ jego na lud i tu szukać należy jednej z przyczyn krzewienia się na Polesiu sekciarstwa, zwłaszcza sztundyzmu. Drugą przyczyną, w tymże duchu działającą, jest niezadowolenie włościan z wysokich ciężarów, spadających na wiernych z powodu posług religijnych. Duchowieństwo wiejskie najmniej jednak, zdaniem autora, jest temu winne, musi ono bowiem płacić duże podatki państwowe i samorządowe, a także duże opłaty na hierarchję cerkiewną. Proboszczowie wiejscy na tę hierarchję oddawać muszą około 20% swoich miesięcznych dochodów.

Co do ogółu duchowieństwa prawosławnego, autor robi uwagę, że najwięcej dręczy je brak materjalnego zabezpieczenia i nieustalone stanowisko prawne, oczekuje też ono z utęsknieniem ogłoszenia statutu cerkwi prawosławnej, na wzór tego, jaki ma już kościół katolicki. Przyczyn przewlekania się tej sprawy duchowieństwo nie zna, skłonne jest wszakże sądzić, że nie na rząd spada tu wina.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

O stałe miejsce w Radzie Ligi. — Czy porażka? — Sprzyjające warunki. — Mowa Mussoliniego. — Czeskie rozporządzenia językowe. Zamieszki bezrobotnych w Kaliszu. — Jeszcze jeden bezrobotny.

SPRAWA przyznania Polsce stałego miejsca w Radzie Ligi Narodów jest—na chwilę bieżącą—niewątpliwie najważniejszem zagadnieniem polskiej polityki zagranicznej. Niepowodzenie w tej sprawie byłoby równoznaczne z klęską całej naszej obecnej polityki, zupełnem, nie ulegającem wątpliwości bankructwem dzisiejszych jej metod. To też zdziwienie i zaniepokojenie wywołać musiała wiadomość, podana niedawno przez *„Baltische Presse"*, a więc pismo ściśle z naszem ministerstwem spraw zagranicznych związane. Wiadomość ta, pochodząca—jak zaznaczono—„ze źródła dobrze poinformowanego", ma brzmienie następujące:

> „Obecny stan usiłowań polskich o stałe miejsce dla Polski w Radzie Ligi Narodów tak się przedstawia: Polska otrzyma w Radzie Ligi miejsce niestałe, na zasadzie układu pomiędzy Hiszpanją a większością członków Rady i wstąpi tym sposobem na dotychczasowe miejsce Hiszpanji. Hiszpanja zaś, przeciwnie, otrzyma obecnie stałe miejsce w Radzie. Ten sposób rozwiązania kwestji przypisać należy inicjatywie dyplomacji polskiej".

Jeżeliby wiadomość powyższa była prawdziwa, oznaczałaby dotkliwą porażkę Polski na terenie międzynarodowym. Jakże bowiem tę wiadomość należy rozumieć? Jeśli Hiszpanja, słabsza liczebnie od Polski i bez wątpienia mniej od niej w sprawach Ligi Narodów zainteresowana, otrzymałaby w Radzie miejsce stałe, zaś Polska niestałe, to rozstrzygnięcie takie jedno tylko mogłoby posiadać znaczenie: byłoby jawnem, demonstracyjnem stwierdzeniem, że Polska w Lidze nie może być traktowana równorzędnie z Niemcami, że musi zadowolić się stanowiskiem pośledniejszem, jako państwo „o ograniczonych interesach" wobec wielkiego mocarstwa. Byłoby to zgodne już nie z „duchem Locarno", ale z „duchem Berlina"... I taki właśnie sposób załatwienia sprawy „przypisać należy inicjatywie dyplomacji polskiej"?!

A tymczasem, jak widać choćby z głosów prasy europejskiej, chwila obecna wcale nie jest dla akcji naszej niepomyślna. Raczej przeciwnie...

Ostatnie tygodnie przyniosły wyraźne pogorszenie stosunków włosko-niemieckich, czego dobitnem świadectwem jest wygłoszona d. 6 b. m. wielka mowa Mussoliniego. „Wódz" Włoch stwierdził, iż mniejszość niemiecka w Południowym Tyrolu—to „pozostałość barbarzyńskiego najazdu", a naród włoski stosować będzie wobec niej „rzymską politykę surowej sprawiedliwości". I zamiast posługiwać się komedjanckim żargonem pacyfistycznym, tak dziś w życiu międzynarodowem rozpowszechnionym, mowę swą zakończył Mussolini słowami: „Włochy faszy-

stowskie mogą, jeśli to będzie konieczne, zanieść swój sztandar dalej, poza Alpy, ale nigdy nie mogą go cofnąć".

Nietylko jednak faszystowskie Włochy „twardą mową" przemawiają do mniejszości niemieckiej, ale i pacyfistyczna Czechosłowacja. Ogłoszone właśnie rozporządzenia w sprawach językowych wprowadzają język czeski, jako urzędowy, we wszystkich sądach, przedsiębiorstwach państwowych, urzędach, ustalając jednocześnie, iż „od urzędników państwowych wymagana będzie doskonała znajomość języka czeskiego". Czyż istota zagadnienia nie jest ta sama w Alpach i w Sudetach?

W naszych stosunkach wewnętrznych ostatnie tygodnie przyniosły zmiany o charakterze raczej psychicznym. Powszechny jest mianowicie upadek powagi rządu w oczach społeczeństwa, upadek, spowodowany przedewszystkiem stanowiskiem władz wobec anarchicznych strajków w tramwajach i telefonach warszawskich. Bezsilność i niezdecydowanie z natury rzeczy budzić muszą poczucie bezkarności, które z kolei prowadzi do faktów tak bolesnych, jak ostatnie zamieszki komunistyczne w Kaliszu, atak bezrobotnych na ratusz, ranienie i znieważenie miejscowych przedstawicieli władz, zbrojny opór policji i t. d.

W składzie rządu następują tymczasem zmiany, wywołane „ustąpieniem z powodu choroby" ministra robót publicznych, posła Moraczewskiego. W prasie ponadto pojawiają się wiadomości o spodziewanej dymisji ministra spraw wojskowych gen. Żeligowskiego. Jak zawsze w trudniejszych dla Państwa chwilach, na horyzoncie pojawia się dodatkowy czynnik zamętu... bezrobotny Józef Piłsudski...

IGN.

WYCHOWANIE NARODOWE

NAUCZYCIEL WYCHOWAWCÓW

NIE tylko działacze oświatowi zachowali w pamięci wiecznie czynną, pełną entuzjazmu postać zgasłego w sile wieku profesora Lucjana Zarzeckiego. Działalność jego, aczkolwiek specjalna, zakreślała kręgi szerokie i docierała wszędy, gdzie zainteresowanie dla zagadnień oświaty i wychowania młodzieży dało się odnaleźć albo obudzić. A jednak na tle tak pospolitej u nas objętości ogółu wobec jednostek wybitnych i ich zasług, żywej tej i płodnej działalności groziło niedocenienie, może zapomnienie nawet, najbardziej cennych jej pierwiastków. To też należy się prawdziwe uznanie ludziom, co obok mogiły znakomitego działacza oświatowego i patrjoty nie przeszli obojętnie, lecz twórczość jego postanowili utrwalić, z pietyzmem gromadząc rozrzucony po prasie dorobek publicystyczny L. Zarzeckiego. Tom szkiców i artykułów, wydany świeżo pod syntetycznym zaiste dla programu pracy Zarzeckiego tytułem: „Wychowanie Narodowe", nie jest zresztą tylko hołdem pośmiertnym dla autora. Jest dziełem wielkiej, trwałej wartości *).

W jednym ze szkiców swoich Zarzecki przeprowadza rozróżnienie poetów myśli i poetów czynu. Sam należał raczej do tej drugiej kategorji. Praca konkretna w danych realnych warunkach bliższa była i milsza jego psychice, niż teoretyzowanie. Zarzuca właśnie czasom dzisiejszym nadmiar ludzi o „nizkiej kulturze uczuciowej, mało wdrożonych w empiryczne metody myślenia, po doktrynersku rozumiejących życie". To też interesującą cechą publicystyki jego jest właśnie operowanie „empirycznemi metodami myślenia". Najbardziej przekonywające twierdzenia studjów jego nie są poparte erudycją i wywodami, lecz stwierdzone aksjomatycznie. Czytelnik nie przekonywa się przez nie do pewnych prawd, ale zaczyna je—wespół z autorem—poprostu widzieć; nie wynajduje ich, lecz je odkrywa.

Nie należy jednak przypuszczać, aby Zarzecki ograniczał widnokrąg swój do kwestyj ściśle bieżących. Gdyby nawet tak było, moment przełomu zasadniczego w życiu naszem, w jakim pracować mu wypadło, dzieło jego czyniłby na dłuższą metę pouczającem. Ale tenże moment zmuszał go i do budowania planów pracy oświatowo-wychowawczej na daleką metę. Tylko stosunek jego do nich nie był doktrynerski, ale życiowo-praktyczny. Stając do roboty konkretnej, dostrzegał, że teoretycy nie przygotowali jeszcze jej podstaw. Tedy zabierał się i do teorji, i do jej popularyzacji—zawsze pod kątem widzenia twórczości bezpośredniej. A gdy naogół teoretycy pedagogji poświęcają uwagę przedewszystkiem metodom wychowania i nauczania, Zarzecki za punkt wyjścia bierze poszukiwanie ich najbardziej ogólnego celu, ponieważ tylko ściśle określona celowość pracy może być dla niej silnym dostatecznie bodźcem.

Stąd pochodzi stale w rozprawach Zarzeckiego powtarzająca się konfrontacja życia i szkoły. Stwierdza niejednokrotnie w sposób lapidarny, że nie człowiek istnieje dla szkoły, lecz szkoła dla człowieka. Może nie dostrzegał nawet, jak mało w pojmowaniu przezeń tej zasady jest komunału, jak oryginalną jej treść nadawał. Istotnie, w naszem powierzchownem rozumowaniu wystarczy usłyszeć, że np. nie człowiek jest dla sztuki, aby wnioskować stąd, że sztuka jest wogóle niepotrzebna, albo przynajmniej sfera jej winna być znacznie ograniczona. Dla Zarzeckiego przeciwnie: fakt, że szkoła ma właśnie służyć życiu, dopiero czyni ją niezbędną i zakres jej działania znakomicie poszerza, a stanowisko podnosi. Przytem, wbrew pozorowi, zasada jego nie czyni bynajmniej szkoły czysto utylitarystyczną, przynajmniej w wulgarnem rozumieniu wyrazu. Bo w pojmowaniu Zarzeckiego same pojęcia człowieka i życia nie mają zdawkowej beztreściwości. Nie określa ich, bo i zwykle ich się nie określa. Lecz wkłada w nie, bodaj bezwiednie, treść, jaką w nich instynktownie czuje. Im bardziej wczytuje się czytelnik w rozważania Zarzeckiego, tembardziej dostrzega, że zasadniczą przesłanką jego nie jest człowiek sam przez się, człowiek, jako cel w sobie. Jego ujęcie rzeczy dałoby się może streścić przez analogję, że nie życie jest dla człowieka, ale człowiek dla życia. Człowiek jest w jego pojęciu przedewszystkiem funkcją życia, a przynajmniej komórką zbiorowości, ogniwem wielkich procesów dziejowych. Ścisłych definicyj nie dawał, ale gdy potrąca o „poważny stosunek do życia", inaczej go sobie nie wyobraża, jak w odczuciu przez indywiduum swej zależności moralnej, swego podporządkowania się zbiorowości.

A zbiorowością tą, w oczach Zarzeckiego, nie była bynajmniej ta czy inna klasa społeczna, wytwór i usługa zbiorowości wyższego rzędu. Nie obcy mu był punkt widzenia zawodowy. Ale dla niego obrona interesów zawodu nauczycielskiego polegała właśnie na podnoszeniu jego poziomu moralnego, na wytwarzaniu w nim poważnego stosunku do życia, jako do służby, poczucia godności tej służby. Zbiorowością żywą, której funkcje życiem swem pełnimy, nie była też dla Zarzeckiego ludzkość cała, będąca w oczach jego raczej sumą zbiorowości żywych, narodowych. Zdumiewające jest, jak przy usposobieniu działacza praktycznego Zarzecki wytworzył w sobie wizję wprost namacalną narodowego całokształtu, jak zwłaszcza w widzeniu tem

---

*) *Lucjan Zarzecki.* Wychowanie narodowe. Studja i szkice. Wydanie pośmiertne z potretem autora pod redakcją *Zygmunta Wasilewskiego* i *W. Wąsika*, z życiorysem i bibljografją, oraz zamknięciem pióra *Z. Wasilewskiego* p. t. „Myśl wychowawcza L. Zarzeckiego ze stanowiska publistycznego". Str. 435. Warszawa. 1926. Wydane staraniem Tow. im. Jana Zamoyskiego. Skład główny w księgarni Perzyńskiego, Niklewicza i Sp. Zł. 12.

mocno był podkreślony historyzm, znów nie w znaczeniu teoretycznem, lecz w znaczeniu bezpośredniego odczuwania go w rzeczywistości, jako cechy naturalnej, nieodzownej, narodowego życia.

Z tych przesłanek uczuciowych czy intuicyjnych naczelne zadanie wychowania wyrasta już samo. Jest niem kultura narodu. W pracy nad nią korzystać należy jaknajwięcej z doświadczeń innych narodów, przedewszystkiem z powszechnych norm prawnych i religijnych. Wszakże granice naśladownictwa są ciasne. W szczególności cały system wychowawczy musimy wytworzyć własny, a i w nauczaniu musimy być więcej oryginalni, niż to zazwyczaj się mniema. Oryginalność ta uzasadnienie ma nie w czem innem, jak w naszej psychicznej odrębności*). Wprawdzie stwierdza Zarzecki, iż głównemi niedoborami naszemi są braki wiedzy, sprzeciwia się jednak energicznie przeładowywaniu programów szkolnych nadmiarem wiadomości naukowych, intelektualizmowi szkoły współczesnej wogóle. Stale też wraca do ulubionej swej myśli, że głównemi wartościami narodu są wartości moralne, a głównemi celami szkoły cela wychowawcze. Tedy i programy szkolne zajmują go głównie ze stanowiska walorów wychowawczych, w poszczególnych przedmiotach nauczania zawartych. Oczywiście więc kładzie nacisk na naukę języka ojczystego, literatury, dziejów. Silnie podkreśla również konieczność obfitego materjału porównawczego z kultur Zachodu, ale całemu temu materjałowi naukowemu wyznacza miejsce podrzędne w stosunku do ducha szkoły, gdyż nikt nie stał się patrjotą z podręczników.

Zadania narodu, w pospolitem ujęciu z okresu niewoli, uważał Zarzecki za niewystarczające, a brakiem celów nowych, szerszych, odpowiadających dzisiejszemu stanowisku Polski, tłumaczył obecną jałowość naszego życia ideowego. I on tych zadań nie precyzował, wskazywał jeno płaszczyznę, w jakiej ich szukać należy. Czuł, że zagadnienie to zbliża się już do religijnych, i z tego względu na stronę religijną w wychowaniu kładł nacisk właściwy. Nie uważał natomiast za dostateczny cel życia narodowego podporządkowanie się samoistnym celom państwa. Tych nie uznawał. Państwo w oczach jego jest ramą, formą, konieczną dla normalnego funcjonowania i rozwoju narodu, ale nie celem w sobie, nie życiem samem. To też konsekwentnie przeciwstawia się etatyzmowi w szkolnictwie i wychowaniu, nie rokując powodzeń, nawet w dziedzinie czysto formalnej, upowszechnienia oświaty i przygotowania kadr nauczycielskich liczebnie wystarczających, jeżeli praca ta nie zostanie poparta żywem zainteresowaniem społeczeństwa i szerokim udziałem samorządu lokalnego.

Nie starczy tu miejsca na streszczanie poszczególnych poglądów Zarzeckiego, wciąż aktualnych, w sprawie organizacji szczebli nauczania, doniosłej roli wychowania fizycznego, sposobów kształcenia ducha zbiorowości, odrębnych cech wychowania kobiet, a zwłaszcza stopnia zawodowości naszego wykształcenia szkolnego, dla którego, zdaje się, wskazał miarę właściwą. Jakiekolwiek z tych zagadnień poruszył, ujmował je zawsze nadzwyczaj głęboko, doprowadzając z reguły do konkretnych wniosków wykonawczych. Pisał nie tyle dla nauczycieli, ile dla wychowawców. A że każdy człowiek jest chcąc niechcąc wychowawcą, więc o te instynkty duszy potrącając, dzieło jego staje się pouczające dla wszystkich, którzy tej działalności swej pragną nadać świadomość i celowość.

*) Zwalczania wad narodowych Zarzecki naogół nie zaleca obawiając się niewłaściwego ich ujęcia, raczej podkreśla możliwość przeobrażenia ich w zalety (np. o wyzyskaniu walorów wychowawczych polskiej „rogatej" duszy).

Tom zamknięty jest uwagami ogólnemi Z. Wasilewskiego p. t. „Myśl wychowawcza L. Zarzeckiego ze stanowiska publicystycznego". Z. Wasilewski widzi przyczynę naszych specjalnych zainteresowań dla zagadnień wychowania narodowego właśnie w fakcie, że w dziedzinie tej źle zostaliśmy historycznie wychowani w ostatnich wiekach Rzeczypospolitej, wskutek wypaczenia się przesadnie indywidualistycznej psychiki szlacheckiej. Nowy materjał wychowawczy musimy czerpać przeto przedewszystkiem ze zdrowych pokładów ludowych. Niewątpliwie stanowi to mniej wyraźnie wypowiedzianą myśl przewodnią i w światopoglądzie Zarzeckiego. Inną rzeczą jest, czy z tych pokładów da się wychować kulturę dostatecznego poziomu i natężenia dla skomplikowanych zadań narodu? Czy nie lepiej stawiać jej za wzór kulturę lepszych charakterów Polski szlacheckiej, oczywiście nie z okresu rozkładu i wypaczania, ale z epoki rozkwitu, z temi niezbędnemi korektami, jakie podsuwają nowoczesne stosunki społeczne i kulturalne, ale które i u nas, jak na Zachodzie, mogą być tylko korektami, treści wytworzyć nie mogąc? Zdaje mi się, że wyrażam tu myśl, obu autorom nieobcą.

WŁ. WAKAR

NAUKA I LITERATURA

DO KOGO ŚWIAT NALEŻY?

WAŻNE pytanie i ciekawa odpowiedź *). Autor wywodzi ją z obliczeń i wykazów posiadanej przestrzeni oraz bogactw naturalnych i wytworzonych w państwach całego świata. Warto wiedzieć, jakie miejsca zajmuje wśród nich Polska. Obszarem w świecie 29, ludnością 11, w Europie 7 i 6. Co do produkcji ogólnej: żyta miejsce 2, (pierwsze Niemcy) ziemniaków to samo, owsa 5, buraków cukrowych 5, bydła 13, owiec 16, koni 8. Co do produktów naturalnych: lasów (w Europie) miejsce 6, węgla 3, nafty (w świecie) 8. W metale uboga: poważniejsze miejsce (8) zajmuje tylko w rudzie żelaznej. Najkrótszą odpowiedzią na pytanie tytułowe byłoby, że świat należy głównie do Stanów Zjednoczonych i Anglji, w trzecim rzędzie do Francji. O bogactwie Ameryki daje wyobrażenie suma zadłużenia u niej 19 państw, wynosząca 12,041,440.907 dolarów, większa od całej ilości złota, wydobytego przez 400 lat. Jak dalece przemysł amerykański owładnął nawet Anglją wykazuje Stead (w książce *The americanisation of the World)*: „Koszula przeciętnego Anglika, w której on wstaje rano ze swego łóżka, zrobiona jest w Stanach Nowej Anglji; namydla on swe policzki amerykańskiem mydłem Wiliamsa, goli się bezpieczną brzytwą, którą zrobił *yankee*; wkłada do kieszeni zegarek amerykańskiej roboty i zasiada do śniadania. Je chleb z mąki, która pochodzi z pszenicy preryj amerykańskich, ostrygi z zatoki Baltimory, szynkę z Kanzas. Czyta gazetę, wydrukowaną amerykańskiemi maszynami na amerykańskim papierze, amerykańską farbą. Po śniadaniu wsiada do tramwaju elektrycznego, zrobionego w Nowym Yorku i jedzie do biura. Tu wszystkie przedmioty: meble, papier, stalówki, atrament są wyrobami amerykańskiemi". Nie należy przeceniać udziału złota w bogactwie narodów. Wartość jednej tylko kukurydzy, wyprodukowanej w 1917 r. w Stanach Zjednoczonych przewyższała 10-krotnie wartość całej ilości złota, wydobytego w tym roku.

Do tekstu książki dołączono 100 tablic. Nie obejdzie się bez niej nikt, kto chce rozwiązywać umiejętnie bieżące zagadnienia polityczne.

*) Dr. S. Nowakowski, *Do kogo świat należy?* Poznań, 1925.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Wiceminister skarbu Bolesław Markowski ogłosił dwie prace: „O systemie danin publicznych w Polsce" (str. 52), oraz „Linje rozwoju administracji skarbowej w Polsce" (str. 20). Obie te prace wyszły osobno, jako odbitki z fachowego czasopisma „Sprawy podatkowe". O ile pracę drugą zaliczyć można do dzieł czysto fachowych, o tyle pierwsza musi być uważana za rzecz, którą powinna zawierać najskromniejsza nawet bibljoteka każdego, co o sprawach podatkowych w Polsce chce głos zabierać. Praca ta bowiem jest zwięzłem, jasnem, a wyczerpującem przedstawieniem istniejących u nas podatków, ich doniosłości pod względem otrzymywanych wpływów, tudzież rozdziału ich między państwo a samorządy. To ostatnie zagadnienienie jest właściwie punktem wyjścia, a sposób jego rozwiązania celem całej pracy.

Warto zaznaczyć, że autor zawsze wskazuje dokładnie źródło prawodawcze, na którym się dany podatek opiera, co zwiększa jeszcze doniosłość praktyczną tej żmudnej, a wysokiej wartości pracy, uzupełnionej ponadto przytoczeniem obrazów cyfrowych o daninach publicznych w Niemczech, Francji, Belgji, Czechosłowacji i Austrji. Szczera wdzięczność należy się autorowi, za to cenne *résumé* jego długoletniego doświadczenia praktycznego i mozolnej pracy badawczej.

*

Cenną pracę ogłosił profesor uniwersytetu poznańskiego Witold Klinger p. t. „Obrzędowość ludowa Bożego Narodzenia, jej początek i znaczenie pierwotne" (Poznań 1926, Fiszer i Majewski). Rozpatruje w niej zarówno chrześcijańskie, jak i dawniejsze, pogańskie pierwiastki obyczajów i obrzędów Bożego Narodzenia u ludów europejskich, szczególny nacisk kładąc na przejawiające się w nich ślady pradawnego kultu przodków. Ślady te, wyraźne u wszystkich niemal ludów Europy, widoczne są i na ziemiach polskich i to zarówno na Mazurach, w ziemi krakowskiej, na Pokuciu i na Białejrusi. Bardzo interesująca jest uwaga autora, że „nasza wieczerza wigilijna, ani w swem tradycyjnem *menu*, ani też w szczegółach swego odwiecznego ceremonjału niczem prawie się nie różni od uczty zaduszkowej i bez wątpienia była nią pierwotnie".

Pracę prof. Klingera, pisaną barwnie a zwięźle, przeczyta z zaciekawieniem nietylko specjalista etnolog, ale każdy człowiek inteligentny.

*

Prof. uniw. poznańskiego Tadeusz Grabowski wydał w drugiem wydaniu drugi tom swego cennego dzieła: „Juljusz Słowacki, jego życie i dzieła na tle epoki" (Poznań, Fiszer i Majewski). Między tomem pierwszym a drugim zaszła dłuższa przerwa w wydawnictwie, ponieważ autor całkowicie tom ten przerobił i na nowo opracował.

*

O pomnikowem wydaniu „Króla Ducha", dokonanem przez J. G. Pawlikowskiego, „Myśl Narodowa" zamieści w czasie najbliższym obszerniejsze sprawozdanie pióra J. Birkenmajera.

U SŁOWIAN

Wyszedł zeszyt 1 ośmnastego rocznika praskiego „Przeglądu Słowiańskiego" (*„Slovanskij Prehled"*) pod red. A. Cernègo. Treść zeszytu jest następująca: Min. E. Benes: Problemy polityki słowiańskiej: VIII. Neoslawizm; P. N. Milukow: Słowiańszczyzna a demokracja; Lud. Ehrlich (prof. uniw. lwowskiego): Polska a Gdańsk; J. Slawik: Dekabryści; Dr. Prohaska: Serbskochorwacka powieść i nowela ostatnich lat 30-tu; Przegląd życia państw i narodów słowiańskich (w rozdziele o Polsce szerzej omawiana sprawa uniwers. ukraińskiego, planów min. Zdziechowskiego i projektu p. Dębskiego unji między Polską a Czechosłowacją, wreszcie ruchu białoruskiego); Literatura, nauka, sztuka (bibljografja); Jubileusz min. Mikołaja Pasića; 72-stronnicowy zeszyt ozdobiony jest podobiznami serbskiego literata B. Stankovića, chorwac. dramaturga Josipa Kosora, Wł. St. Reymonta i Mikołaja Pasića.

*

Poświęcony Łużycom miesięcznik praski *„Česko-lužickij vestnik"* rozpoczął VII rok istnienia numerem 1 z dnia 20 stycznia 1926 r. 12-to stronicowy zeszyt zawiera następujące artykuły: Sonet „Słowianom" J. Barta-Ćišińskiego (†1909)—Pod znakiem Jakuba Ćisińskiego (J. Páta)—„Bałtosłowiańskie" i serbskołużyckie motywy w literaturze duńskiej i szwedzkiej—(O. Heidrich)—Z Łużyc: Serbskołużycka rada narodowa, Łuż. sokolstwo; Związek Literatów Łużyckich—Bibljografja—Z literatury łużyckiej—Kronika (notatka o działalności warszawskiego „Towarzystwa przyjacielów (!) naroda luzickiego". Pismo to redagują wybitni czescy przyjaciele Serbów Łużyckich: Doc. Józef Páta i red. Vladimir Zmeskal, a wydaje je „Towarzystwo czeskołużyckie.

*

Na pamiątkę tysiąclecia królestwa chorwackiego (święconego w dn. 15 sierpnia 1925) wydaje się obecnie w Zagrzebiu piękne album p. t. „Znakomici i zasłużeni Chorwaci" *(Znameniti zaslužni Hrvati).* Jest to zbiór biografij zasłużonych dla kraju Chorwatów, obficie ilustrowany portretami wielu ważniejszych osobistości i obrazami historycznemi. Album obejmuje w istocie tysiąclecie, bo czas od pierwszego króla chorwackiego Tomislawa (910—928) aż do ostatnich wypadków politycznych i powstania koalicji gabinetowej serbsko-chorwackiej (Radić). Ponadto znajduje się w albumie spis królów, banów i biskupów chorwackich i zarys dziejów piśmiennictwa chorwackiego. Pod wzgędem zewnętrznym album przedstawia się bardzo dobrze.

*

„Nova Evropa", chorwackie czasopismo polityczne, wychodzące w Zagrzebiu, t. XIII, Nr. 1, (1 stycznia 1926) zawiera: Nasza jedność (Lian)—Serbowie w Bośni a Serbja (S. Grdjić)—Nasz parlamentaryzm (M. Grol)—Polityka szkolna p. Radića (M. Ć.)—Uwagi nad psychologją dziecka (S. T. Popović).

*

Grupa uczonych bułgarskich (B. Conew, D. Miszew, Al. Dziwgow, St. Władenow i in.) wydała niedawno Księgę Pamiątkową ku czci wielkiego francuskiego słowianofila Louis Léger'a († 1923). W dziele tem, ozdobionem portrem Léger'a, znajduje się szereg prac z zakresu lingwistyki, historji, etnografji słowiańskiej etc. Z ważniejszych prac wymienić należy: prof. M. G. Popruženki o poszczególnych rozdziałach historji bułgarskiej, prof. St. Władenowa o L-Légerze i djalektach macedońskich i prof. I. Szismanowa o nauce francuskiej a „Wedzie słowiańskiej".

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Miesięcznik włoski *„Rivista di Cultura"* poświęcił specjalny numer twórczości Juljusza Słowackiego. (*„Giulio Słowacki". Collezione di seritti di letterature straniere a cura di Enrico Damiani Roma 1926).*

Znajdajemy tu przekłady niektórych patrjotycznych poezyj Słowackiego („Hymn do Wolności" i t. p. w przekładzie prof. A. Palmieri'ego), przekład „Godziny myśli" (tłum. Enrico Damiani); scena z „Kordjana" (tłum. Klotyldy Garosci), ustępy z „Anhellego" (prof. P. E. Paolini) i z „Króla—Ducha" (tłum. Olga Pinto), wreszcie kilka drobniejszych utworów („Rzym", „Smutno mi Boże!" i t. p.). To wszystko poprzedzone znanym sądem Z. Krasińskiego o charakterze poezji Słowackiego (tłum. E. de Andreis'a) i zakończone zwięzłym, pełnym treści szkicem prof. Romana Pollaka p. t. *„Sulle vette del romanticismo"* („Na szczytach romantyzmu").

Jest to drobnostka w stosunku do całej przebogatej twórczości Słowackiego, ale jednocześnie jest to bardzo wiele, gdy się zważy, że współczesna inteligencja włoska nic prawie o Słowackim nie wiedziała. Jest to również wymowne świadectwo żywego zainteresowania się młodej inteligencji Włoch dzisiejszych sprawami literatury polskiej. Dwanaście nazwisk włoskich, podpisanych pod przekładami utworów Słowackiego, bądź pod rozprawami i uwagami ich dotyczącemi, to doprawdy zjawisko niezwykłe, zwłaszcza tam, gdzie do niedawna jeszcze nikt się tem wszystkiem nie zajmował.

*

Ukazał się w druku dalszy fragment dzieła, któremu Marcel Proust poświęcił pracę całego życia i które zapewniło mu niezwykły rozgłos, a mianowicie dwutomowa *„Albertine disparue"*, stanowiąca siódmą z kolei część *„A la recherche du temps perdu"*.

Omawiając tę powieść w paryskim *„Temps"* bystry krytyk p. Paul Souday robi następującą uwagę: „Wielu uważa Prousta za wielkiego myśliciela, głębokiego psychologa, odnowiciela etyki, estetyki i t. d. Nie on jest tem w najmniejszym nawet stopniu, ma natomiast inne zalety, wystarczające dla zapewnieniamu sławy literackiej". Ze szczególnem uznaniem podnosi p. Souday piękny opis nocy księżycowej w pierwszym rozdziale pierwszego tomu.

NOWE KSIĄŻKI

Władysław Konopczyński, Stanisław Konarski Warsz. 1926. Kasa im. Mianowskiego. Str. XIX i 472. (z 16 rycinami).

Ignacy Chrzanowski. W sprawie „Kazań sejmowych" Skargi. Kraków. 1926. Nakładem Księg. Krakowskiej. Str. 32.

Zymunt Wasilewski. Dyskusje. Poznań 1926. Księg. św. Wojciecha. Str. 232.

Stanisław Zieliński konsul gen. w Berlinie. Niemcy w r. 1924. Raport gospodarczy za r. 1924 (Warsz. 1926.). Wydawn. Min. Spraw. Zagr. Str. 126.

Józef Morozewicz. Komandory. Studjum geograficzno-przyrodnicze z 2 mapami geolog., 36 tabl. i 8 rys. Warsz. 1925. Kasa im. Mianowskiego. Str. XIV i 230 in 4-o.

Michał Wojtkiewicz. Wisła pomorska. Drogi wodne w Polsce I, II. Warsz. 1926. Nakładem Tow. propagandy budowy dróg wodnych. Książnica-Atlas. Cena 2 zł.

Nowogródzkie. Praca zbiorowa, wydana staraniem Tow. Krajoznawczego pod redakcją Wacława Borowego. Warsz. 1926. Str. 95 in 2-o i wiele ilustracyj.

Encyklopedja prawa obowiązującego w Polsce. Praca zbiorowa pod red. prof. Peretiatkowicza. Cz. V. Zarys ustroju sądownictwa i postępowania cywilnego. Poznań 1926. Fiszer i Majewski.

Józef Siemieński. Podział historji ustroju Polski na okresy. Lwów. 1925. Kasa im. Mianowskiego. Str. 27.

Tadeusz Grabowski. Juljusz Słowacki. Jego życie na tle epoki. Tom II. Wyd. drugie zupełnie przerobione i nanowo opracowane. Poznań 1926. Fiszer i Majewski.Str. 384.

J. E. Płomieński. Problem pracy w „Przepióreczce" Żeromskiego. Refleksje krytyczno-polemiczne. Warsz. 1926. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Str. 50.

Ks. Charszewski. Z bojów o Żeromskiego. Włocławek. 1926. Str. 32. Cena 80 gr.

Stanisław Adamczewski. Poeci romantyczni w programie szkolnym. Warsz. (1926) Odbitka z księgi pamiąt. I zjazdu nauczycieli polonistów 1924 r. str. 42.

Zdziechowski-Głąbiński. Położenie finansowe i gospodarcze Polski. Przemówienie w Sejmie w dn. 11.XII.1925.

Józef Bek. O samorządzie. Warsz. 1926. Bibl. pogadankowa Nr. 23 (Nowy-Świat 40) str. 36.

Józef Bek. Działalność Rady powiatowej w Limanowej na polu popierania sadownictwa w l. 1902—1917. Warsz. 1925. Nakładem Zrzesz. Samorządów powiatowych. Str. 48.

E. Bertrant Thompson. System Taylora (Naukowa organizacja). Tłumaczył z franc. Aleks. Rothert. Warsz. 1925. Wydawn. Ligi pracy. Str. 103.

Bron. Grąbczewski gen. Wspomnienia myśliwskie. Z portretem autora. Warsz. 1926. Gebethner i Wolf.

Henryk Opieński. Jakób Lutnista. Opowieść sceniczna z XVI w. w formie opery. Warsz. 1926. Gebethner i Wolff.

Clement Vautel. Proboszcz wśród bogaczy. Przekład Karoliny Bobrowskiej. (Warsz. 1926.). Sfinks.

Miecz. Jarosławski. W mocy kabały. 2 t. Bib. Dzieł Wyb.

Tadeusz Bocheński. Gościńce. Przekłady. Lublin 1925. Księg. Kotlarskiego.

Tenże. Przekład Hezjodowej Tarczy Heraklesa. Cieszyn. 1924. Skład główny u M. Arcta w Warszawie.

Jan Brzechwa. Oblicza zmyślone. Poezje. Warsz. 1926. G. Szyling.

Stella Olgierd Pieszczoty. (Poezje). Z przedmową Edwarda Słońskiego. Warsz. 1925. W. Krzyszkowski.

Stanisław Czajkowski. Bajki ilustrowane. Serja I. Łódź. 1925. Nakład St. Czajkowskiego.

M. H. Szpyrkówna. Tajemnica masońskiego zegara. Bibl. dzieł. wyb.

St. Kiedrzyński. Uśmiech szatana. Powieść. Tamże.

Ignacy Nikorowicz. Jan Kiszocki. Powieść. Tamże.

Józef Bédier. Dzieje Tristana i Izoldy. Przeł. Boy-Żeleński. Tamże.

Ladislao Jabłonowski Rivoluzione Fascista. Traduzione dal polacco di E. de Andreis: Roma 1925. La vita italiana Str. 12.

Przegląd Warszawski, miesięcznik. Zesz. 50. Warsz. 1925.

Przegląd Powszechny, mies. Kraków. Styczeń i luty 1926.

Przegląd Wszechpolski, Warsz. Grudzień 1925.

Przegląd Filozoficzny. Rocznik 28, zesz. III — IV. Warszawa 1925.

NA MARGINESIE

Ciekawym przyczynkiem, ilustrującym metody informacyjne „Wiadomości Literackich", jest zamieszczona w Nr. 5 z r. b. notatka o paryskiem piśmie „*Europe*". Dowiadujemy się z niej, iż „w związku z przyznaniem nagrody im Goncourtów... jeden z członków Akademji Goncourtów wypowiedział się... przeciw firmie wydawniczej F. Rieder i S-ka... i zażądał wykluczenia jej kandydatów... Firma Rieder, — objaśniają dalej „Wiad. Lit." — właścicielka doskonałego miesięcznika „*Europe*", nosi charakter lewicowy i za główne zadanie stawia sobie zbliżenie Francji z Europą m. in. drogą wydawnictw tłumaczeń znanych pisarzy obcych i t. p."

Trzeba przyznać, iż notatka brzmi tajemniczo. Osobliwe zwłaszcza jest owo „zbliżenie Francji z Europą", co nie wydaje się potrzebne, skoro Francja jest państwem europejskiem i była niem, zanim jeszcze firma F. Rieder i S-ka powstała. Trudno też zrozumieć, dlaczego działalność firmy, polegająca na wydawaniu „tłumaczeń znanych pisarzy obcych" wywołała wśród członków Akademji Goncourtów objawy tak wyraźnej niechęci.

Dziwne te zjawiska pozostałyby jednak prawdopodobnie okryte tajemnicą, gdyby „Wiad. Lit." nie zamieściły na innem miejscu drugiej notatki, niczem z pierwszą nie związanej, a donoszącej, co następuje: „Piotr Hamp ogłasza w styczniowej „*Europe*" „Pochwałę Shylocka", zawierającą szereg refleksyj na temat sjonizmu". O to tylko chodziło! Czyż ta krótka wiadomość nie wyjaśnia całkowicie, czemu zdaniem organu p. Grycendlera pismo „*Europe*" jest „doskonałe", „lewicowe" i pracujące nad „zbliżeniem z... Europą"?

*

P. Wasserzug, pisząc w „Nowym Kurjerze Polskim" o konkursie wytrzymałości piechurów na placu Saskim, taką oto, pełną erudycji literackiej, robi uwagę: „Mogłaby tam stanąć owa Muza z „Wyzwolenia" co „swą lirę trącą, jakby to słowo „nic" dzwoniąca".

W rzeczywistości harfę (nie lirę) „dzwoniącą słowo: nic" trąca w „Wyzwoleniu" Harfiarka, nie zaś Muza, która wogóle z lirą ani harfą nic nie ma do czynienia. Każdy zaś, kto choć pobieżnie czytał „Wyzwolenie", musiał zapamiętać, że zarówno Harfiarka, jak Muza, są w dramacie Wyspiańskiego postaciami ważnemi, ale zgoła różnemi, nic absolutnie nie mającemi ze sobą wspólnego. Nie szukamy mądrości u nieuków, zwłaszcza mydlących oczy swą erudycją, i mało nas obchodzą ich kompromitacje. Ale tak aroganckie popisywanie się nieznajomością jednego z największych arcydzieł naszej literatury jest — w piśmie po polsku drukowanem — skandalem, zasługującym, mimo wszystko, na zanotowanie i publiczne skarcenie.

*

Ostatni ze stałych swych fejletonów niedzielnych w „Kurjerze Warszawskim", (jeden zresztą z krótszych), zakończył p. Ferdynand Hoesick następującą sentencją:

„Tak, tak, na nic się nie zda największy nawet dar wymowy, kiedy się niema nic do powiedzenia!"

Fejleton liczy 310 wierszy druku. Tak, tak..

*

W dniu 6-go b. m. w Instytucie Naukowej Organizacji, Pracy. propagującym metody racjonalnej produkcji, odbyła się bardzo pożyteczna narada z księgarzami, w jaki sposób zwalczyć drożyznę książki polskiej. Obradami kierował prof. Adamiecki, dyrektor Instytutu. Zapowiedziano dalsze konferencje.

*

W dniu 6-go b. m. odbyło się w Warszawie zebranie Koła kielczan, zasługujące na zaznaczenie z tego względu, iż po raz pierwszy starsi kielczanie zetknęli się na niem z akademickiem Kołem kielczan, grupującem dzisiejszą młodzież kielecką na wyższych uczelniach warszawskich. Obok innych uchwał ustanowiono stypendjum dla kielczanina, kierującego się na drogę pracy naukowej. Zebranie nie pozbawione było podniosłych momentów, jako zbliżenie się ludzi kilku pokoleń starszych z młodymi i wiązanie tradycyj z myślą o przyszłości. Koło kielczan w samej Warszawie liczy przeszło stu członków. Na zakończenie zebrania wiceprezes Koła inż. Tomasz Ruśkiewicz wygłosił bardzo interesującą pogadankę historyczną o procesie Związku Młodzieży Narodowej z r. 1890. Rzecz oparta na nieznanych dokumentach urzędowych (raport prok. Turau).

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu C. Ł. Prosimy o przysłanie tego, co Pan uważa za odpowiednie, co Panu leży na myśli i na sercu.

Panu M. Wr. we Lwowie. Wierszom pańskim brak jeszcze koniecznej zwartości, są za rozwlekłe, za mało zawierają treści. Jest jednak talent, którego rozwoju szczerze życzymy.

WYRÓB I SPOŻYCIE CUKRU

Przemysł cukrowniczy w Polsce, oparty na surowcu rolnym, ma wszystkie naturalne warunki egzystencji i dalszego rozwoju. Zniszczony w czasie wojny na terenach b. Królestwa Kongresowego i Wołynia, został on wielkim wysiłkiem starań i nakładem kosztów, bez żadnej pomocy skarbu, dość szybko odbudowany i powrócił już prawie do stanu przedwojennego.

W roku 1924/25 czynnych było w Polsce 76 cukrowni, które wyprodukowały 440.829 ton cukru białego. W ostatniej kampanji pracowały tylko 72 cukrownie, gdyż 4 fabryki, wskutek ciężkiego przesilenia gospodarczego, w międzyczasie zostały zamknięte. Ostatnia produkcja wyniosła około 520.000 ton cukru białego. Wobec małej konsumcji wewnątrz kraju, wynoszącej zaledwie około 250.000 ton, resztę produkcji fabryki zmuszone są wywozić zagranicę. Jeszcze przed dwoma laty eksport cukru był bardzo korzystny, lecz od początku 1924 r., wskutek ogromnej konkurencji cukru trzcinowego, wszystkie cukrownie europejskie, eksportujące zagranicę cukier buraczany, ponoszą duże straty. Nizka cena cukru trzcinowego wypływa z następujących powodów: 1) cukier w trzcinie jest o wiele tańszy, niż w buraku, 2) wyrób jego jest o wiele łatwiejszy, niż buraczanego, 3) wysuszona trzcina cukrowa służy jako opał zamiast węgla, 4) tamtejszy robotnik kolorowy jest tani.

Oceniając należycie rolę przemysłu cukrowniczego w gospodarstwie każdego państwa, rządy zagraniczne rekompensują fabrykom straty eksportowe przez odpowiednie zwiększenie ceny wewnątrz kraju. A korzyści, które daje cukrownictwo krajowi, państwu i społeczeństwu są wielkie. Niektórych z nich nie można pominąć milczeniem.

Cukrownictwo silnie wpływa na wzmożenie kultury rolnej, podnosi plony zbóż, a sam burak cukrowy daje rolnikom większe zyski, niż inne ziemiopłody. Uprawa buraka wprowadza do warsztatów rolnych intensywną gospodarkę, co ma wielkie znaczenie dla drobnej własności. Liście buraczane oraz odpadki cukrownictwa, w postaci wytłoków i melasy, są nadzwyczaj pożywnym i tanim pokarmem dla inwentarza tak roboczego, jak i dochodowego i znakomicie przyczyniają się do postępu hodowli i potanienia cen mięsa. Wszystko to udowodnione jest ścisłemi obliczeniami Schuchart'a, Humbert'a, Lilienthala, Watterstrandt'a i innych badaczy. Z powyższego wynika, że cukrownictwo pośrednio daje znaczne zwiększenie produkcji potrzebnych krajowi środków pokarmowych i dodatnio wpływa na uregulowanie sprawy aprowizacji w każdem państwie.

Cukrownictwo w Polsce zatrudnia bezpośrednio około 40.000 robotników w samych fabrykach, oraz przeszło 160.000 osób przy plantacjach buraczanych. Pośrednio zaś pracują dla niego znaczne rzesze robotników przy dobywaniu węgla, wyrobie koksu, wapna, worków, maszyn i aparatów potrzebnych dla omawianego przemysłu. Prowadzenie plantacyj buraków cukrowych zapewnia utrzymanie licznym rzeszom robotników rolnych, zabezpiecza przed nędzą, grożącą ze zbytniego napływu do miast i osad fabrycznych, oraz ratuje przed emigracją do obcych krajów. W okolicach, gdzie powstają cukrownie, bardzo się wzmaga dobrobyt ludności, a to skutkiem znacznej podaży wszelkich zarobków, zarówno dla ludzi, jak też i dla posiadanego przez nich inwentarza roboczego.

Cukrownictwo w znacznym stopniu przyczynia się do wzmożenia ruchu transportowego, a więc i do zwiększenia dochodów kolei, gdyż na wyrobienie 1 centnara cukru trzeba przewieźć około 11 centnarów surowców i materjałów pomocniczych. Pozatem obecność cukrowni w danej okolicy powoduje budowę kolejek podjazdowych i dróg bitych, znacznie się przyczyniających do podniesienia stanu gospodarstwa Państwa.

Cukrownictwo jest jednym z największych płatników podatków. Nie mówiąc o podatku przemysłowym, dochodowym i innych bezpośrednich, podatek spożywczy od cukru, zwany akcyzą, dosięga rocznie sumy 90.000.000 zł.

Z uwagi na powyższe właściwości, cukrownictwo innych państw korzysta z bardzo troskliwej opieki rządu i postulaty tego przemysłu są rozważane nie w oderwanem pojęciu, lecz z uwzględnieniem tych wszystkich korzyści, jakie ono przynosi skarbowi, krajowi i jego obywatelom. Przykładem tego może służyć Anglja, Do roku 1924 Anglja własnego przemysłu cukrowniczego prawie nie posiadała. Całą konsumcję krajową, która jest największą w całej Europie, pokrywała z importu taniego

cukru trzcinowego i buraczanego, który u siebie przerabiała na rafinadę.

Jednakże trapiona bezrobociem i zastojem w przemyśle Anglja ciągle szuka takiego lekarstwa, które dałoby zatrudnienie licznym rzeszom głodujących robotników i zmniejszyło potrzebę zasiłków pieniężnych dla nich z kas skarbowych. Szukała ona takiego procesu wytwórczego, któryby od surowca, drogą fabrykacji i uszlachetnienia produktu, aż do jego zbytu, był umiejscowiony w kraju samym. Lekarstwo takie znalazła Anglja w rozbudowie własnego przemysłu cukrowniczego, dla ugruntowania którego wyznacza wysokie subsydja skarbowe. Już w ciągu roku ubiegłego uruchomiono w Anglji 10 cukrowni, a w ciągu najbliższych paru lat liczba ta ma być doprowadzona do 60.

Niestety, cukrownictwo polskie nie korzysta z tak troskliwej opieki, jaką widzimy w innych krajach. Rząd i samo społeczeństwo nie wnika głębiej w istotę rzeczy, traktuje cukrownictwo, jako oderwany przemysł fabryczny i nie uwzględnia tych wszystkich korzyści, jakie ono przynosi krajowi i państwu.

W jesieni roku ubiegłego komisja międzyministerjalna badała kalkulację kosztów produkcji cukru i przyszła do jednomyślnego wniosku, że obecna przeciętna cena cukru, osiągana ze sprzedaży tak wewnątrz kraju, jak i zagranicą, nie pokrywa kosztów produkcji i podniesienie ceny krajowej jest konieczne, jeżeli ma być uratowany przemysł cukrowniczy. Rząd, powodując się względami politycznemi, nie kwestjonując zresztą orzeczenia wyżej wskazanej komisji, sprzeciwia się podniesieniu ceny, twierdząc, że obecny moment nie jest odpowiedni na podnoszenie cen artykułów spożywczych, chociaż ten sam moment nie przeszkodził znacznej zwyżce cen wódki, papierosów, soli, zapałek, azotniaku i smarów, będących przedmiotem handlu skarbowego.

Spożycie cukru w kraju wynosi obecnie około 9 kg. rocznie na głowę ludności, a przeciętne spożycie w zachodniej Europie około 19 kg. Jedną z głównych przyczyn, powodujących małą konsumcję cukru w Polsce, jest słabe uświadomienie samego społeczeństwa o korzyściach, płynących z konsumcji cukru. A korzyści te są bardzo duże. Cukier bowiem jest źródłem siły i ciepła, niezbędnych dla organizmu żywego. Będąc łatwo rozpuszczalnym w wodzie, jest on najłatwiej strawnym ze wszystkich przyjmowanych przez nas pokarmów, albowiem nie wymaga od organizmu żadnego wysiłku na jego przetrawienie. Im więcej człowiek pracuje, tem więcej powinien spożywać cukru. W armji naszej, w okresie letnim, kiedy przypadają ćwiczenia w polu i manewry, norma cukru wydawana żołnierzom bywa podwyższona o $^1/_3$ część zwykłej porcji. Cały szereg doświadczeń i obliczeń naukowych wykazał, że ze wszystkich spożywanych pokarmów cukier należy do tych, które tanim stosunkowo kosztem dają największe ilości ciepła, a zatem i energji.

Za 1000 kaloryj, wytwarzanych w organizmie człowieka ze spożycia różnych pokarmów, według cen istniejących w końcu 1925 r., zapłaciliśmy za spożycie:

chleba	29 gr.	ryżu	85 gr.
ziemniaków . . .	33 „	słoniny . . .	1 zł. 08 „
cukru	40 „	mleka . . .	1 „ 20 „
mąki pszennej . .	45 „	mięsa . . .	1 „ 85 „
fasoli	52 „	masła . . .	2 „ 10 „

Nadmiar cukru, spożyty przez człowieka, nie zostaje wydalony z organizmu bezużytecznie, lecz zapomocą wątroby, zostaje przerobiony na tłuszcz i już w tej postaci zmagazynowany w organizmie. Cukier, spożywany w dużych ilościach wraz z innemi pokarmami, znacznie zwiększa wydzielanie śliny i w ten sposób podnosi czynność trawienia innych pokarmów. Cukier posiada nawet pewne własności lecznicze: np. w gorączce, w stanie wielkiego podniecenia, jak w gniewie, lub strachu, działa on znakomicie, zapobiegając wylaniu się wzburzonej żółci. Użyty w odpowiedniej ilości do kawy, obniża podniecające działanie niezdrowych narkotyków, jakie zawiera ten napój. Nadto cukier rozpuszcza śluz i tym sposobem usuwa zaflegmienie.

W czasie ostatniej wojny, z powodu braku cukru, zaczęto używać do słodzenia pokarmów sacharynę, otrzymywaną ze smoły pogazowej i dulcynę, wyrabianą z uryny ludzi i zwierząt. Te sztuczne środki słodzące nie dają żadnych korzyści, lecz przeciwnie przynoszą tylko szkodę naszemu organizmowi. Przed wojną używanie sacharyny i dulcyny do celów jadalnych było przez urzędy lekarskie wzbronione, obecnie przepis ten należy jaknajprędzej przywrócić.

Wśród szerokich mas społecznych panuje przekonanie, że wysokość spożycia cukru zależy od zamożności obywateli danego kraju. Pogląd ten nie jest zupełnie słuszny, gdyż naprawdę konsumcja wypływa z upodobania i przyzwyczajenia ludności do danych pokarmów oraz, jak już wspomniano, z jej uświadomienia o wysokich wartościach odżywczych cukru i jego przetworów. Teza ta znajduje potwierdzenie w ilościach spożywanego cukru w wielu dobrze nam znanych krajach cywilizowanych. Naprzykład Finlandja zjadała w roku ubiegłym około 18 kg. na głowę, pomimo, że ten kraj, pełen jezior i skał, należy do najbiedniejszych w Europie. Dzisiejsze Niemcy, uginające się pod ciężarem długów wojennych, pozbawione kolonij, przeżywające od kilku lat, niemniej ostry, niż my, kryzys gospodarczy, które jednak spożyły w roku ubiegłym około 24 kg. cukru na mieszkańca, jak również zbankrutowana Austrja, znajdująca się pod kuratelą Ligi Narodów, a jednak konsumująca około 18 kg. na głowę, są również zaprzeczeniem błędnego poglądu o zależności konsumcji od dobrobytu ludności.

Wskutek strat, ponoszonych od dwóch lat na eksporcie cukru, większość cukrowni w Polsce znalazła się w bardzo ciężkiej sytuacji i jeżeli ten stan rzeczy potrwa dłużej, to zamknięcie wielu warsztatów pracy w tej gałęzi przemysłu stanie się nieuniknione. Tylko natychmiastowa zwyżka cukru może uratować omawiany przemysł od ruiny i zabezpieczyć liczne rzesze zajętych w nim pracowników fizycznych i umysłowych od utraty źródła egzystencji.

Jeżeli zwyżka ta wyniesie 10 groszy na kilogramie cukru, to licząc przeciętne spożycie 9 kg. rocznie na mieszkańca, wyrazi się ona w jego budżenie zwiększeniem o 90 groszy rocznie, czyli $7^1/_2$ grosza miesięcznie. Naturalnie, mieszkańcy miast spożywają więcej cukru, niż ludność wiejska i dlatego ich wydatek będzie wyższy, niż cyfra przeciętna.

Taki wydatek musi ponieść społeczeństwo, jeżeli byt cukrownictwa polskiego ma być uratowany, a dziesiątki tysięcy robotników mają pozostać przy pracy. *Iw.*

TREŚĆ:

Chimera demokratyzmu *Z. Wasilewskiego.*—Staszic na tle swej epoki *T. Grabowskiego.*—Los poety narodowego *A. Nowaczyńskiego.*—Do Marutów (Hymn Rigwedy) przekład *St. Pieńkowskiego.*—Balbina *W. Miłaszewskiej.*—Liberum Veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Głos z Polesia. — Przegląd polityczny *Ign.*—Wychowanie narodowe *Wł. Wakara.*—Nauka i literatura.—Nowe książki— Na marginesie. — Odpowiedzi Redakcji.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.